

Wieruszyński

"Sęp" /relacja nagrana lipiec 88 - kwiecień 89/

© ARCHIWUM WSKOŃCIE

Pochodzę z Białegostoku. W 1939r. miałem 13 lat. Ferie letnie spędzałem na terenie wileńszczyzny, w pobliżu granicy polsko-litewskiej. Tam zastała mnie wojna i 17 wrzesień 39r. Byłem na wakacjach u wujka z rodzeństwem, natomiast moja matka przebywała w Białymstoku ze starszym bratem. Rodzeństwa miałem trójkę. Ko 17.09 do wujka /księdza/ przyjechała również mama. W tym czasie, tak jak wszyscy, przeżywaliśmy i klęskę Polski i wejście sowietów. Armia Czerwona, która weszła do miejscowości, w której się wówczas znajdowaliśmy, posuwała się od Wilna, przeszła przez tę miejscowość, potem pewne oddziały zaczęły wracać spod Grodna, które się wtedy jeszcze bronilo. Niektóre czołgi sowieckie były mocno postrzelane. Żołnierze radzieccy mieli bardzo prymitywne uzbrojenie... Mówili, że przyjechali, aby uwolnić ludność miejscową od panowania panów. Były demonstrowane filmy na otwartej przestrzeni - propagandowe. Na takich terenach niektórzy spotykali ich z entuzjazmem - prawdopodobnie komuniści - białorusini, Żydzi, Polacy. Było to biedne chłopstwo i rzemieślnicy. Postawili tam bramę i powitali czerwonoarmistów kwiatami.

U wujka byliśmy do końca października i wróciliśmy do Białegostoku. Białystok był wówczas przemianowany na zachodnią stolicę Białorusi. Było ciężko, sklepy były albo pozamykane, albo puste. Podaż towarów była bardzo zła - przeważni "spiczki" i machorka. Różpocząłem naukę w gimnazjum i do końca 39r. uczyłem się wg starego programu, z tym, że wprowadzono nowy przedmiot - konstytucję ZSRR. Od stycznia 40r. stary system szkolnictwa został zniesiony i powołano szkołę 10,letnią. Trafiłem do 5-ej czy 6-ej klasy z polskim językiem wykładowym. Wychowawczynią była Rosjanka - Maria Iwanowna. Język polski wykładała pani Cukier - Żydówka z Warszawy. Była bardzo słodka i bardzo prosowiecka, dlatego nazywaliśmy ją "Sacharyna". Języka niemieckiego uczyła Rosjanka, tłumacząc słowa niemieckie na rosyjskie - których nie znaleźliśmy. Dyrektorem szkoły był Rosjanin - bardzo zasłużony dla partii i władz sowieckich. Wprowadzał on ostre rygory w szkole. Robił różne odprawy, mówił o szczęściu, które nas spotkało /czyli o wyzwoleniu przez ACZ/, polował na nasze harcerskie krzyże

lilijki i znaczki gimnazjalne, które wrywał wraz z kawałkiem ubrania. Ale staraliśmy się mu również odwdziaczyć. M.in. zamknęliśmy go raz na strychu /opis kawału - przyp. ord./. Drugim takim kawałem było zdjęcie portretu Stalina i podłożenie go pod dywan w pobliżu gabinetu dyrektorskiego. Pewnego dnia wszystkie lekcje zostały przerwane, zagoniono nas do dużej sali gimnastycznej, pan dyrektor był b. zdeberwowany, mówił porosyjkę: "ja už znaju, tylko natychmiastowe przyznanie się z waszej strony może jeszcze uratować winowajców". Trzyliśmy jeden na drugiego, nie wiedzieliśmy o co chodzi, aż w końcu dyrektor zaczął wyjaśniać: "to przecież bezobrazija, to jest kontrrewolucja, portrte naszego wodza został położony pod dywan i ja osobiście chodziłem po Stalinie". Nikt się nie przyznał i sprawa się rozeszła. Były jeszcze różne indyenty z p.Cukier, której wkładaliśmy amoniak do torebki, raz powiesiliśmy jej kalosze na portrecie Stalina itp. Niewielu z nas się uczyło, czego później nawet żałowałem. Mama pracowała /przed wojną nie pracowała, otrzymywała emeryturę po ojcu/. Po przyjsciu sowietów emerytury nie były wypłacane, więc musiała iść do pracy -- do jadalni jako pomoc kuchenna. Nas było 4-to, ale jakoś dawaliśmy sobie radę. W tym czasie staliśmy się też obywatelami Zw. Radz. Mama otrzymała dowód osobisty rosyjski, a nikt się nie pytał, czy się chce zostać obywatelami sowieckimi, czy nie. Było to chyba w pierwszych miesiącach 40r. Zaczęły się wtedy pierwsze masowe wywozy na Sybir. Wywożono Polaków i Żydów. Z najbliższego sąsiedztwa wywieziono nawet całkowicie sparaliżowanego Żyda. Wywożono i bogatych i biednych - po prostu ludność miejscową. Akcja wywozów odbywała się nocą, więc jak rano przychodziliśmy do szkoły to się okazało, że wielu koleżanek i kolegów już nie ma - pojechali.

Biały tok jako stolica Białorusi od połowy 40r. był dobrze zaopatrzony, sklepy były pełne i dlatego miasto było masowo odwiedzone przez ludność z innych stron kraju. Poza tym każdego dnia przylatywał samolot niemiecki - towarowo-pasażerski, duży. Przylatywał punktualnie o 12-iej w południe - tak punktualnie, że zegarki można było nastawiać. Robił rundę nad miastem i lądował na lotnisku. Białystok odwiedzali również Niemcy - oficerowie. Sam byłem świadkiem, jak na rynku Kosciuszki przy kawałku

leko kina "Świat" przed wojną, a w czasach sowieckich - "Domu Krasnej Armii" - stała grupa oficerów niemieckich w otoczeniu oficerów sowieckich, budząc duże zainteresowanie ludzi. Zaczął się robić tłum i wówczas jeden z oficerów sowieckich - Żyd - powiedział: "nie tołpities, przecież orzyjechali do nas nasi przyjaciele". Samolot i oficerowie przyjeżdżali nie tylko po żywność, była to wymiana poczty i działalność wywiadowcza. Wszystko to było w ramach przyjaźni, która przejawiała się przede wszystkim w przewozie przez Białystok do GG węgla, rudy i innych bogactw naturalnych z ZSRR.

Z działalności partyzanckiej sprzed 41r. pamiętam tylko opowieści dyrektora, że "Polacy strzelają z za węgla". Ja z bratem drukowaliśmy ulotki na drukarence-zabawce. Na tych ulotkach były pieczętki z polskim orzełkiem i wiadomości usłyszane z radia londyńskiego, m.in. to, że będzie wojna między Niemcami i sowietami. Taką ulotkę smarowało się klejem i naklejało na mur. W pobliżu lotniska były laski, w których było dużo przewodów telefonicznych i dla zabawy przecinaliśmy je. Były to wszystko niezorganizowane, spontaniczne, harcerskie wyczyny. Rozładowywało to emocje młodzieży wychowanej w Polsce międzywojennej, która umiała młodzież patriotycznie wychować. Nikt z nas przecież nie uważał, że rzeczywiście przyszli do nas wyzwolicieli. Sowietów uważaliśmy za wrogów, a wróg ten zychowywał się jak wróg. W Białymstoku, na Rynku Kościuszki był stary ratusz, wybudowany jeszcze przez Klemensa Branickiego. Sowietci w 40r. ratusz ten rozebrali - cegła po cegle. Nawet zegary zabrano i wywieziono. Na tym miejscu wybudowali tablicę pamiątkową dla uczczenia 1-ej rocznicy wyzwolenia Białegostoku spod ucisku polskich panów. Tablica ta nie doczekała się 2-ej rocznicy, bo przyszli Niemcy, tablicę złamali i na niej ułożyli stos rosyjskich karabinów. Ale ludzie zaczęli kraść te karabiny i Niemcy to szybko zlikwidowali. Polska Ludowa odbudowała ratusz, tylko bez zegarów, bo te już nie wróciły.

Przed 22.06.41r. pojawiły się znów wagony z kominkami - przygotowane do wywozu ludzi. Moja rodzina też była przygotowana: mama zgromadziła jak najwięcej sucharów, mieliśmy przygotowane ubrania, narzędzia, wszystko było zapakowane, każdy miał wyznaczony dla siebie pakunek. Z naszej 4-ki

tylko najstarszy brat miał zostać w Białymstoku - ukrywać się w specjalnie zrobionej skrytce.

Wieczór z 21/22 czerwca był b. ciepły, parny, długo byliśmy na dworze. Zaczął się ruch w powietrzu, samoloty, strzelanina. Żydzi mówili, że to manewry, a to był początek wojny. Nad ranem padły bomby i na drugi dzień wymiotło władzę sowiecką z Białegostoku, który został bezpieczny ok. tygodnia. Więzienie białostockie nie zostało zniszczone, bo "osjanie uciekli za szybko. więźniowie ~~wyszli~~ wyszli na ulicę - maszerowali kolumnami. Wodziałem wtedy wyniszczonych ludzi, kobiety-więźniarki z małymi dziećmi na rękach. Wynikła też panika, bo ktoś krzyknął, że jada kozacy. Wszyscy runęli w poprochu, do nas do mieszkania też się schowali, ale okazało się, że to tylko plotka. Po tygodniu weszli Niemcy. Tajeli się od razu Żydami. Zgoniono ich ok. 3-4 tys. do synagogi przy ul. Szkolnej, podpalono granatami i żywcem spalono. Potem zaczęto podpalać dzielnicę żydowską - również metodą z granatami. Dzielnicę ta została wówczas w 70% zniszczona. W mojej rodzinie Niemcy też przeprowadzili szczegółową rewizję, - widocznie ktoś coś na nas doniósł. Były liczne aresztowania. Powstało getto na terenie miasta.

W Białymstoku byłem do połowy września 41r., potem wyjechałem na teren nowogrodzyczny. Wjechałem przez Grodno, przez które biegła wówczas granica między Prusami a państwem białoruskim /ZSRR/. Granica ta na mostach była obstawiona przez żołnierzy niemieckich. Przez granicę i przez całe Grodno przeprowadził mnie i brata jakiś policjant. Prowadził nas jako więźniów-włóczęgów /taki meldunek składał/. Wyprowadził nas na szosę Grodno-Wilno i puścił. Wędrowaliśmy do określonego punktu. Na jakiejś plebanii dostaliśmy nocleg, ksiądz zestrachu chyba całą noc odmawiał brewiarz, rano nas zbudził, nakarmił - i dalej w drogę. Przyjechaliśmy do miejscowości, w której mieliśmy już przygotowane zakwaterowanie i dokumenty i tam zostaliśmy /było to przygotowane przez kogoś z konspiracji i z kościoła/. Na nowogrodzynie ja już zostałem, a brat wrócił do Białegostoku. Pracowałem jako sprzedawca w sklepie i wkrótce zacząłem działać w konspiracji. Szefem sklepu był członek konspiracji. Trwało to ok. 3 lat - do 1944r. W tym czasie przyjechała tam moja siostra i młodszy brat.

Działalność konspiracyjna polegała wówczas na: zbieraniu informacji o ruchu na szosie Grodno-Wilno, o ruchu pogranicznych wojsk niemieckich, kontakcie z oddziałami leśnymi /był to teren działania porucznika Krysi/, o zamierzonych akcjach Gestapo. / w pobliżu była miejscowość Sabakince - zapisana niezbyt przyjemnie przez Niemców/. Nawiązywało się też odpowiednie kontakty z partyzantką radziecką, organizowało pomoc uciekinierom - jeńcom radzieckim i grupom żydowskim. Niektórzy z jeńców rosyjskich wstępowali potem do AK i walczyli w AK aż do końca. Przygotowywaliśmy też dla oddziałów leki, ubrania, buty, amunicję. Nastąpiła jednak wsypa. Początek jej był najprawdopodobniej związany z weselem na wsi. Byli na nim chłopcy z konspiracji, byli pogranicznicy - Niemcy i po wódce, któryś z naszych powiedział do Niemca /ślazaka mówiącego po polsku/ - "coś ty taki mądry" - i pokazał pistolet. Niemiec powiedział "gut, gut", a potem był nalot Gestapo /jednostki ukraińskie/ na nasze miasteczko. Utoczyli, mieli adresy. Ja wówczas byłem w sklepie, szef wyjechał - niby po towar. Zamordowali wtedy aptekarza Grabowskiego rzucając granaty i paląc mieszkanie z apteką. Zamordowali prawie całe rodziny Kulejów, Łukaszewiczów. Aresztowano dużo osób. W szkole w tej miejscowości był oddział Luftwaffe /naziemna obsługa lotnictwa/ - w piwnicach zrobiono tam areszt, a potem więźniów wywieziono. Ja uciekłem i od tego czasu byłem w oddziale - początkowo u "Bradiagi", potem u "Krysiaka". Był to 2 batalion, trafiłem do 4 kompanii por. "Olesia" i do 3-go plutonu pod dowództwem Staszka Matrosa / w tym czasie AK-owcy na tamtych terenach mieli często pseudonimy rosyjskie, dlatego, aby uchronić miejscową polską ~~konspirację~~ ludność od represji niemieckich/ Potem te pseudonimy zostały zmienione/.

Po ucieczce wróciłem do miasteczka po młodszego o 5 lat brata, który potem był przeczucany z placówki na placówkę - do różnych melin. Od czasu do czasu spotykaliśmy się. W partyzantce byłem zwykłym żołnierzem, stopni oficerskich nie dosłużyłem się, orderów również nie. Jeśli chodzi o akcje - to było przede wszystkim Horodno /na trasie Grodno-Wilno/. Stacjonowali tam niemieccy żandarmi i Białorusini. Horodno należało zniszczyć, ponieważ wg danych wywiadu Niemcy mieli tam zakwaterować punkt ROA /Russkoj

Oswobodzicielnoej Armii/ - czyli jednostkę włascowską. Był tam pałac o potężnych murach /do 1m grubosci/ i usadowienie tak dużej jednostki niemieckiej na tamym terenie napewno nie byłoby korzystne dla ruchow partyzanckich. Akcja ta była w styczniu lub lutym 44r. W akcji uczestniczył cały batalion Krysiaka przy pomocy innego batalionu /4-go?/ również z 77 pułku piechoty AK. Akcja odniosła całkowity sukces. Rozbito bunkry niemieckie, wysadzono pałac, zniszczono most, wzięto do niewoli Niemców, zdobyto dużo amunicji i żywnosci. Ale były też straty po naszej stronie - zabici i ranni. Po tej akcji Niemcy wysłali w teren swoje jednostki, samoloty, ale nam nic nie zrobiono. Ja byłem w grupie, która odwoziła rannych na melinę w lasy. Była to pierwsza akcja, w której uczestniczyłem. Akcję pod Horodnem rozpoczęła grupa dowodzona przez sierżanta o pseudonimie "Bez". Była to ciekawa postać. Bez był synem mieszanego polsko-niemieckiego małżeństwa. Matka była Polką, ojciec Niemcem. Zawarli małżeństwo w czasie I-ej wojny światowej. Po urodzeniu syna ojciec zabrał go do Niemiec. Matka została w Polsce, w czasie II-ej wojny św. mieszkała w Lidzie i pracowała w konspiracji. Bez - jako żołnierz Wehrmachtu - feldfebel - jadąc na front wschodni odwiedził swoją matkę. Matka potrafiła go przekonać, że mimo wszystko jest Polakiem, że Niemcy walczą o złą sprawę i Bez zdezerterował z Wehrmachtu i przeszedł do AK. Po pewnym czasie został dowódcą spec-grupy w 2 batalionie. Grupa ta była umundurowana w mundury niemieckiej "schutzpolizei" i wykonywała brawurowe akcje, w tym akcję na więzienie w Lidzie w styczniu 44r., w akcji tej odbito ponad 50 Polaków skazanych na śmierć przez Niemców, a dokonało tego 8 ludzi - nie licząc wkładu siatki konspiracyjnej w Lidzie. Garnizon niemiecki w Lidzie wynosił w tym czasie 10 tys. ludzi. Po wejściu do więzienia grupa Bza miała określone zadanie: wykonanie wyroku śmierci na komendancie więzienia, który tam mieszkał i był bardzo zasłużony w morderstwach na Polakach /był chyba Ukraińcem lub Białorusinem/. Został on zakłuty bagnietem w swojej kancelarii. pozostali żołnierze chodzili po celach i wywoływali nazwiska Polaków, których należało wyprowadzić. Nie można było wszystkich uwolnić, bo akcja prawdopodobnie nie udałaby się.

A więc w sposób zorganizowany wyprowadzono z celi wybranych, a ci dopiero na dziedzińcu dowiedzieli się, że nie idą "na rozstrzał", tylko na wolność. Jeden z tych wywołanych Polaków nie zgodził się wyjść, bo bał się, że idzie na śmierć. Po wyprowadzeniu więźniów prowadzono ich w kolumnie, tak jak robili to Niemcy prowadząc "na rozstrzał". Był to już wczesny ranek i w czasie przemarszu tej grupy z bocznej ulicy wyszedł jakiś oficer niemiecki. Zaczął się dopytywać co to jest, sięgnął do pistoletu, ale ktoś go kropnął, zabrał czapkę i pistolet. Okazało się jednak, że został tylko zraniony i po pewnym czasie zaczął wzywać pomocy. Ale jakos nikt naszych nie gonił i szczęśliwie wyprowadzono tę ponad 50-osobową grupę - tam gdzie trzeba. Czekają już na nich sanie, konie, ludzie i zostali wywiezieni w bezpieczne miejsce.

W Horodnie też również wszedł ze swoją grupą żandarmów, ~~xxxxx~~ - podłączyli się do telefonu niemieckiego i nadali wiadomość, że między Raduniem a Iszyszkami jedzie grupa policjantów i że zajadą do Horodnego, żeby się ogrzać. I zajechali. Jak ich tam przyjęto - nie wiem. Ale było kilka wpadek, bo któryś tam miał niemiecki płaszcz a mundur polski z orzełkiem. Jeden z Niemców zauważył to i wtedy nasi kazali prawdziwym żandarmom podnieść ręce do góry i tamci się poddali. Gorzej podobno było z bunkrem z Białorusinami, który trzeba było zdobywać w walce.

Po wyzwoleniu tych terenów przez A CZ został aresztowany jako zdrajca ojczyzny, dostał 10 lat, był na Kołymie. Chyba żyje, ale co się z nim teraz dzieje - nie wiem.

Po akcji na Horodne była akcja w Raduniu nie brałem w niej udziału/. Było to rejonowe miasteczko z policją, żandarmerią i Luftwaffe. Akcja udała się. Wzięto dość dużo Niemców do niewoli, dużo sprzętu wojskowego. W tym czasie była też nieudana akcja w Szczuczynie, gdzie zginęło b. dużo naszych żołnierzy, a część dostała się do niewoli i była uwięziona w Lidzie. Wobec tego nasze dowództwo zdecydowało się dokonać wymiany więźniów niemieckich na polskich. I taka wymiana w pobliżu Radunia po pewnym czasie miała miejsce: Niemców było ponad 30, a naszych też dość duża grupa. Akcja w Raduniu była chyba w czerwcu 44r. Po tej akcji był okres przygoto-

wań do akcji "Burza", a konkretnie - plan zdobycia Wilna. W międzyczasie nastąpiły zmiany organizacyjne w nowogrodzkim AK: zmiana dowódcy okręgu, który został podporządkowany okręgowi wileńskiemu, a przez to - bezpośrednio płk. Wilkowi. W oddziale uruchomiono zaopatrzenie: zostaliśmy jednolicie umundurowani /zasługa siatki konspiracyjnej/, uszyto nam jednakowe mundury z lnu, farbowane na ochronny kolor, dostaliśmy żelazne racje żywnościowe. Uzbrojeni byliśmy też dobrze: w plutonie /10-12 chłopaków/ było po kilka RK-ów, automatów, były karabiny, granaty, amunicja. Wyruszyliśmy na Wilno pod koniec czerwca, z tym, że 2 batalion por. Krysiaka w bezpośrednich walkach o Wilno nie uczestniczył. Byliśmy pod Wilnem, potem się wycofywaliśmy. Po drodze było wyzwolenie "eszyszek" i to było pierwsze i jedyne spotkanie z wyzwolonymi przez nas mieszkańcami. Dostawaliśmy kwiaty, jagody, całusy... ale to się skończyło. Trzyszedł rozkaz udania się na koncentrację - wydany przez płk. Wilka, który wierzył, że prowadzone przez niego rozmowy z dowództwem sowieckim zezwolą na utworzenie wydzielonej jednostki AK przy boku wojsk sowieckich i przystąpienie do normalnych działań wojennych. Tak się jednak nie stało. Zostaliśmy nad ranem obudzeni i w kolumnach marszowych zaczęliśmy się wycofywać na zachód. Wiedzieliśmy już wtedy że dowództwo dywizji wileńskiej - cały sztab z Wilkiem - został aresztowany przez Sowietów. A myśmy się wycofywali... Początkowo nie było trudności z marszem, potem zaczęły się pojawiać grupy żołnierzy sowieckich, samochody, motocykle, a wreszcie czołgi. Po paru dniach marszu czołgi były i z boku i z tyłu, i z przodu, a nad nami pojawiły się samoloty. Zrzucano z nich ulotki o następującej treści w j. rosyjskim: "Do polskich oficerów i żołnierzy. Zapraszam do poddania się na zapad. Proszę złożyć oręż wozie derewni Godełki, pośle czewo odpuszczeni budietie domoj. W protivnym słuczaje budietie unicztożeni". Podpis - "komandir sowietskoj armii" - bez imienia i nazwiska. Ulotki te były spuszczone na specjalnych, małych spadochronikach. Stanęliśmy w lesie. Dowództwo w tym czasie nawiązało kontakt z Londynem poprzez radiostację. Po pewnym czasie /był to lipiec 44r./ zrobiono zbiórkę żołnierzy i dowódca powiedział, że po uzyskaniu kontaktu z Londynem otrzymali radiogram, w którym napisano, że Armię Czerwoną nale-



ży traktować jako armię sprzymierzoną. Coto oznaczało? Tak jak nam tłumaczono, nie mogliśmy rozpocząć walki z sowietami. A ponadto, wcale do tej walki nie byliśmy przygotowani, bo było nas za mało i za słabo byliśmy uzbrojeni. Dowódca powiedział wówczas tak: "w to, że was zwolnią do domów - ja nie wierzę. Ale nie ma możliwości abyśmy się tu znajdujący się wszyscy wyrwali z kotła. To jest niemożliwe i drogo by to nas kosztowało. Uważam, że ci, którzy z różnych względów nie mogą się poddać sowietom powinni próbować ucieczki. "eszta - powinna się poddać". Dowódcą był Krysiak /pseudonim/. Tak się skończyła przygoda w oddziale....

Zaczęliśmy niszczyć broń, częściowo ją zakopywać. Zbliżał się wieczór. Podciągnęliśmy pod Godełki, tam był jakiś punkt dowódczy. Wieczorem wylądował radziecki kukuruźnik, którym przyleciał generał. Wszedł do domu, w którym była część naszych dowódców /ci, którzy nie uciekli/. Generał zatrzymał się tam, rozmawiał.... A rano składaliśmy broń. Generał sowiecki stał w luku czołgu, w wieży, a myśmy przechodzili czwórkami i składaliśmy broń. I rosły te sterty karabinów, automatów, erkaemów....

Po zdaniu broni wchodziliśmy w - stojący z obu stron - kordon żołnierzy sowieckich z psami. I tak te nasze kolumny wchodziły w to scisle otoczenie sowieckie. Pognano nas do obozu w Miednikach Królewskich. Do domu nikt nie trafił, chyba, że uciekł po drodze, ale uciekali przeważnie miejscowi. W Miednikach Niemcy trzymali kiedyś konie, były tam więc stajnie i baraki, ale wszyscy AK-owcy nie mogli się tam pomieścić, bo żołnierzy było ok. 5tys /niektórzy mówią, że jeden tysiąc, ale to nieprawda/. Przebywaliśmy tam ok. 2 tygodni. Otrzymywaliśmy wyżywienie wynoszące ok. 50 racji żołnierza sowieckiego na froncie, a więc racje były głodowe. Ponieważ nie mogliśmy się wszyscy pomieścić w stajniach, więc z kolegami wykopaliśmy sobie dziurę w ziemi, przykryliśmy maskującą plandeką i tak w tej dziurze siedzieliśmy. Robiono nam bardzo częste spisy ewidencyjne. Przed wyruszeniem na akcję "Burza" musieliśmy zdać wszystkie możliwe dokumenty i przedmioty, które mogłyby pomóc w jakiegokolwiek identyfikacji. I dlatego jedynym dokumentem, który posiadaliśmy w Miednikach była książeczka wojskowa żołnierza AK z pseudonimem, stop-

niem, udział w akcjach - i nie poza tym. Spisy robione przez sowieckich administratorów obozu były mało prawdziwe, nie wszyscy podawali swoje dane ~~osobowe~~ osobowe, więc często przy następnym sprawdzaniu okazywało się, że wielu osób niema i stąd następne spisy. Obóz był prawdziwy /wieże wartownicze, druty/, ale nie miał nazwy, - nie był to obóz jeniecki, gdyż myśmy nie mieli praw jeńców. Po 22 lipca obóz odwiedziła 3-osobowa grupa oficerów z Armii Berlinga. Jak się dowiedziałem niedawno, szefem tej grupy był Henry Putrament. Na pozostałości muru, którym kiedyś obóz w Miednikach był otoczony, oficer, prawd. Putrament, wszedł odczytał manifest PKWN. Z manifestu tego wynikało, że jedyną władzą legalną w Polsce jest PKWN, że rząd w Londynie działał nielegalnie, ponieważ był powołany w oparciu o konstytucję z 35r., która była narzucona narodowi. Oficer zaapelował, ~~że~~ żebyśmy zwartą grupą przeszli do Armii Polskiej, reprezentowanej przez gen. Berlinga. Chętnych nie było wielu. Zgłosiło się kilkanaście osób, które od razu zostały wyprowadzone za bramę, dając im w przejściu menażkę, łyżkę itp. Rano, tych, którzy wyszli zagnano z powrotem do obozu, tylko było ich mniej. Okazało się, że wykorzystując sposobność, część z nich po prostu uciekła. <sup>+</sup> Więcej z nami przedstawiciele Armii Berlinga nie rozmawiali.

Po upływie kilku dni nadeszły informacje, że mamy zmienić miejsce pobytu. Została odprawiona msza polowa, kapelani udzielili nam roz grzeszenia bez odbycia spowiedzi, wiedząc, że w sytuacjach nadzwyczajnych jest to możliwe. Nadjechały łaźnie polowe, kazano nam do nich iść, wychodziliśmy nago, robili nam jeszcze rewizję, nago ćwiczyliśmy jeszcze "żabkę" - żeby wytrąść jakieś ewentualne przedmioty, które chciałoby się ukryć. Następnego dnia wyprowadzono nas w kolumnach z obozu - na stację, odległą o 5km od Miednik <sup>4</sup>ról. Nasze kolumny żołnierskie były z obu stron otoczone sowietami, ale szliśmy w szpalerze ludności miejscowej, która przyjechała z Wilna i okolic. Było to coś w rodzaju manifestacji. Ludzie chcieli nam podać papierosy, żywność, ale sowieci nie dopuszczali. Ludzi jednak nie rozpędzali. Na stacji stały już wagony towarowe z dziurą zamiast ubikacji. Były wiadra na wodę, ale wody nie było. Dostaliśmy so-

wieckie suchary wojskowe z czarnego chleba, namiastkę czekolady-cukierka i suszoną rybę. Zamknięto nas w tych wagonach, które były tak nabite, że nikt nie mógł się położyć. Rozebraliśmy się do spodenek, zawiesiliśmy płachty brezentowe jako wachlarze i ruszyliśmy. Pociąg jechał aż do starej polsko-sowieckiej granicy. Tam nas puszczono "na uprawkę", czyli na załatwienie potrzeb fizjologicznych. Przez te parę dni w ogóle nie otrzymywaliśmy wody. Na pierwszym postoju była podmokła łąka z kępami trawy, między którymi była woda z pajakami. Tę wodę piliśmy - przez chusteczki /też brudne/, ale byliśmy przecież bardzo spragnieni. Nikt z nas jednak nie zachorował. Przejechaliśmy przez granicę - do Mińska. Tam ludność obrzuciła nas kamieniami krzycząc: "faszisty". "otem była Orsza /ciągle nie dostawaliśmy wody/, Smoleńsk i tam dopiero pozwolono nam wyjść po wodę. Wyskoczyłem z wiadrem. Smoleńsk był bardzo zniszczony, dworzec zbombardowany, ale wodociąg działał. Była tam jedna rura bez kranu, z której wybijała fontanna wody. Skoczyłem do niej, napiłem się, spłukałem, pobiegłem z wiadrem do wagonu, z powrotem, znów piłem, znów się kapałem, znów do wagonu. Wszyscy się napili, mieliśmy jeszcze 2 wiadra wody w zapasie. Zamknięto wagony. Przed Smoleńskiem jeszcze zdarzył się wypadek, że ktoś chciał wyskoczyć i zastrzelono go, ktoś został ranny w siedzenie, bo wystawił je przez okno..

Ze Smoleńska dostawiono nas do miasta, którego nazwy początkowo nie znaliśmy - przyjechaliśmy w nocy. Rano ktoś mówi, że nie ma konwoju. Faktycznie - nie ma. Jak się rozwidniło, utworzono drzwi i kazano wychodzić. Wychodzimy, orkiestra i transparent: "priwiet polskim partizantom". - spotkali nas jako polskich partyzantów, którzy walczyli z Niemcami i przyjechali na teren ZSRR. Po powitaniu ustawiono nas w kolumny marszowe i ruszyliśmy: na przodzie orkiestra, a za nią my. Po drodze dowiedzieliśmy się, że jest to Kaługa. W marszu kazali nam śpiewać, noto śpiewaliśmy - nasze polskie partyzanckie, legionowe i inne piosenki. Krzymaszerowaliśmy do koszar. I tak trafiłem do jednostki wojskowej 390990.

W koszarach zostaliśmy powiadomieni, że z przywiezionych partyzantów polskich zostanie stworzony pułk. I tak się stało. Zostaliśmy podzieleni na drużyny, plutony, kompanie, bataliony, z tym, że dowódcą każdej jednostki był Rosjanin. Żaden z Polaków nie otrzymał funkcji dowódcy. Ja otrzymałem przydział do kompanii cekaemów. Nadal byliśmy w mundurach polskich. Zaraz po przybyciu do koszar była kąpiel, badania lekarskie, "san-obrabortka" - czyli golenie wszystkich miejsc, gdzie rosną włosy. Normalnie dzień zaczynał się pobudką o 6-ej z minutami, trzeba było wtedy szybko ubrać się do połowy, potem gimnastyka, mycie się, sianie łóżek, kończenie ubierania się, śniadanie /b. skąpe/ i wymarsz na poligon. Wymarsz ten odbywał się uroczysto. Wszystkie oddziały szły kolumną marszową, przechodziły przed trybuną, na której stał dowódca pułku /pułkownik/ w ścisłym otoczeniu oficerów. Po przyjeździe na poligon były zajęcia - godzina teoretycznych, godzina praktycznych. Wykłady były po rosyjsku. Były również zajęcia polityczne, sytuacja na frontach itp. Powrót do koszar na obiad, po obiedzie godzina "martwego czasu" - trzeba było rozebrać się, położyć do łóżka. Po południu zajęcia albo na poligonie albo w koszarach. Broń dostaliśmy tylko ćwiczebną, czyli nie nadającą się do użytku. Pełniliśmy też służbę wartowniczą, ale tylko wewnątrz obozu. Wartownikami z zewnątrz byli tylko Rosjanie. Korespondencji nie było. Dostawaliśmy żywność; za całomiesięczny żołd można było kupić kufel piwa. Dostawaliśmy też, oprócz tytoniu, zapalniczki - bez pudełek - ze specjalną deseczką. Bibulek do tytoniu nie dostawaliśmy, kradliśmy więc gazety, broszury itp. Po miesiącu, w kąpieli zabrano nam nasze partyzanckie mundury i wydano nowe - sowieckie, drelichowe: "gimnastiorka", spodnie, owijaczki i trzewiki, pas brezentowy. W ramach służby wewnętrznej zostałem skierowany do pracy w kuchni oficerskiej /w armii sowieckiej oficerowie jedzą oddzielnie i lepiej niż żołnierze/. Pojechaliśmy do magazynu po prosiant, dorwałem się do masła, które jadłem bez chleba, jadłem różne konserwy, kartofle i po tym dostałem takiego rozwolnienia, że po wyjściu na poligon ciągle się musiałem meldować /żeby odejść "na stronę"/

Po przyjeździe na obiad miałem już wysoką temperaturę i trafiłem do szpitala na oddział chorych na dezynterię. Tam w ogóle nic nie dawali jeść i po pewnym czasie wszystko mi przeszło. Wróciłem do jednostki po 4-5 dniach, miałem już apetyt, ale znowu nic nie było do jedzenia.

Na poligonie rozpoczęły się bardzo intensywne szkolenia. Forsowaliśmy nawet Okę /próba/. Po tym skróconym kursie szkolenia rekruckiego zapowiedziano nam, że wkrótce otrzymamy prawdziwą broń i rozpocznie się ostre strzelanie i rzuty prawdziwymi granatami. Do tego jednak nie doszło i przez krótki czas zaprzestano nas wyprowadzać na poligon. po pewnym czasie zaprowadzono nas znów do łaźni, zdaliśmy ubrania do "prożarki" i dostaliśmy już stare mundury sowieckie. W związku z tymi faktami wyczuwaliśmy, że coś się zmieni. <sup>W</sup> przedtem krążyły pogłoski, że przywieziono z Moskwy kilka skrzyń orzeźków polskich berlingowskich, ale ich nie dostaliśmy. Nie dostaliśmy również gwiazdek na furazerki. Sami natomiast robiliśmy z puszek po konserwach amerykańskich usztywnienia do naramienników.

W Kałudze było więcej ludzi niż w Miednikach - ok. 6 tys. Byli tam również ludzie z innych obozów - przeważnie żołnierze bez stopni /oficerów od razu odłączono/, oprócz tych, którzy nie zdradzili swego stopnia. Tak się "przechował" dowódca mojej kompanii - ppor. Oleś. Były tam również sanitariuszki /ok. 15 dziewczyn/, w tym nasza sanitariuszka z 2-go batalionu o pseudonimie Hajduczek. Była umiejscowiona w sztabie batalionu. - dość ładna, pulchna, mała.

Po pewnym czasie /od zmiany ubrań/ zostaliśmy wyprowadzeni z koszar na stację kolejową, załadowani do pociągu towarowego, dostaliśmy suchy prowiant i pojechalismy na SE. Wychali z nami nasi dowódcy rosyjscy. Powili nam, że jedziemy na poligon. Na pytanie dlaczego jedziemy na wschów, a nie na zachód odpowiadali nam, że tylko wtedy mogą żołnierze jechać na front, jeżeli ich dowódcy będą pewni, że żołnierz im w plecy nie strzeli. A w stosunku do nas takiej pewności nie mają.

Po zakończeniu szkolenia w Kałudze niepamiętam aby ktokolwiek proponował nam złożenie przysięgi, a nie mógł to być chyba fakt, o którym bym zapomniał.

po kilku dniach podróży /wrzesień 44r./ zajechaliśmy do lasów. Pociąg zatrzymał się, kazano nam się wyładowywać. Pociąg odjechał, my zostaliśmy z kadrą. Kazano nam rozpalić ogniska, nalać gałęzi jodłowych, z których zrobiliśmy materace do spania. Było już zimo, bo zaczęły się przymrozki. Rano ugotowaliśmy jedzenie z suchych produktów i zaczęliśmy budowę szałasów. <sup>Do</sup> ich wybudowaniu przyjechał pociąg, załadowano nas do wagonów, znów przyjechaliśmy w puste miejsce i - historia się powtórzyła. Była już druga połowa września. Postanowiłem uciec do domu. 20 września rano, z dwoma kolegami /pseud. Pająk i Masekko-keń/ zabraliśmy dowódcy kompanii mapnik z kompasem, pożegnaliśmy się z niektórymi kolegami i wyruszyliśmy piechotą na zachód. map w mapniku nie było, więc szliśmy wg kompasu. Nocowaliśmy w lesie przy ognisku. Sądziłem, że udało się nam ominąć Moskwę i że jesteśmy pomiędzy Moskwą a Wiaźmą. po kilku dniach wędrówki musiałem się z kolegami rozstać, bo okulałem i nie dałem rady maszerować. Podzieliliśmy nasze zapasy, oni ruszyli dalej, a ja zostałem mając zamiar dalej jechać koleją. W pobliżu była jakaś mała stacyjka. Pod wieczór poszedłem tam i spytałem po rosyjsku czy daleko do wiaźmy. Zapytany człowiek odpowiedział, że Wiaźma to za Moskwą, a do Moskwy - 50 czy 60km. <sup>roz</sup>rozumiałem wówczas, że nasze wyliczenia były błędne i że przede mną jest Moskwa. <sup>zacz</sup>aczałem rozmyślać co dalej? W Kałudze mówiono nam, że za ucieczkę z obozu grozi kara śmierci. Nie wydawało mi się początkowo możliwe, że Moskwa jest do "przeskoczenia". W końcu, po wypaleniu niezliczonej ilości papierosów, pomyślałem, że śmierć może nas wszędzie spotkać. Spytałem więc na stacji o najbliższy pociąg do Moskwy. Miałem przy sobie dolary i złoto które dostałem od wujka, a za to nie mogłem kupić biletu. <sup>w</sup>wsiadłem z ludźmi jadącymi na targ i wysiadłem w Moskwie na dworcu <sup>Ar</sup>arostawskim. Wiedziałem, że pociągi na zachód jadą z dworca białoruskiego. Spytałem, jak trafić. Okazało się, że - metrem. <sup>Prze</sup>przejechałem metrem na dworzec białoruski, wyszedłem na 1-szy peron, ale potrzebny był mi peron, który był oddzielony płotkiem z metalową branką, w której stał kontroler. <sup>Prze</sup>przechodzących ludzi było sporo. Ja byłem w mundurze, <sup>w</sup>w płaszczu oficerskim, więc nie stanąłem w kolejce, tylko podszedłem do przejścia i mówiąc: "rozreszi" - przeszedłem. Jakiś kolejarz

pokazał mi, gdzie stoi pociąg do Wiaźmy. Potrzebny był jednak bilet i miejscówka. Wszedł jakiś żołnierz i pyta: "imiejesz zakurit?" - "imieju" pyta skąd jadę, mówię: "z bolnicy na front", tylko putiowki niet". Żołnierz wsadził mnie przez okno do wagonu, w którym jechali żołnierze na front. Przyjechałem tym pociągiem do Orszy. Tam sprzedałem koszulę i kupiłem chleb. Zorientowałem się też, kiedy jedzie pociąg do Minska. Wjechał tam transport wojskowy z wozami konnymi. Wlażłem pod jeden wóz i przyjechałem do Minska. Dowiedziałem się tam, że do Mołodeczna jadą cysterny, na których jedzie mnóstwo ludzi. Wabrałem się z nimi i dobrze mi szło, ale przed starą granicą polsko-sowiecką pociąg zatrzymano i zaczęto sprawdzać dokumenty. Sprawdzanie zaczęli od przodu, ja byłem z tyłu. Kiedy przeszli do mnie, powiedziałem, że bilet ma "tamten z przodu" i tak się udało. Wszedłem z powrotem na cysterny i przyjechałem do Mołodeczna. Pociąg do Lidy odjeżdżał dopiero rano, więc postanowiłem przencocować u jednego kolejarza. Sprzedałem mu mapnik, dostałem kolację, śniadanie, gospodarze zbudzili mnie i poszedłem na stację. Stał tam już pociąg z wojskiem jadący przez Lidę do Białegostoku. Wsiadłem na platformie z armatami. Przyjechałem do Lidy i wysiadłem. Przechylenie mówiło mi, że tutaj coś jest niedobrze. Prawdopodobnie, gdybym w Lidzie zaryzykował i postarał się zmeinić mundur sowiecki na cywilne ubranie, może wszystko byłoby inaczej. Ale nic nie wiadomo..... Nie chciałem jechać do Białegostoku, bo chciałem się zameldować Krysiakowi - na jego terenie, czyli nowogódczyźnie. Poszedłem z Lidy w kierunku na Raduń. Dobrze mi się szło traktem, ale teren był zupełnie odkryty. W pewnym momencie zobaczyłem na wzgórzu jadącą w kierunku Lidy furmankę z sowieckimi żołnierzami. Nie miałem gdzie uciekać, więc szedłem do przodu. Furmanka zatrzymała się, ja też. Pytają: "ty kuda?" - wymieniłem jakąś wioskę. Zaczęli robić rewizję. Dokumentów nie miałem, znaleźli złoto, dolary. Zostałem zawieszony do siedziby kontrwywiadu w Lidzie. Zakwaterowano mnie w ziemiance i rozpoczęto śledztwo. Podawałem różne wersje, już teraz nie pamiętam jakie, ale w wyniku prostej logiki, że "i tak i tak zatłuką", więc warto, żeby się ktos o mnie dowiedział - powiedziałem, że jestem z Kaługi, ta-

kiej i takiej jednostki, nazywam się tak i tak, a zablądziłem aż tu. Oficer przesłuchujący kazał mnie odprowadzić. W międzyczasie widocznie nawiązał kontakt z Kaługą i moje zeznanie zostało potwierdzone. Po kilku dniach zostałem przewożony do więzienia w Lidzie <sup>tego</sup>, które "Bez" rozbijał za Niemców/. W więzieniu spotkałem kolegów z oddziału<sup>+</sup> tych, którzy się nie poddali i nie złożyli broni, m.in. "Sokoła", który miał b. poważne zarzuty. Dowiedziałem się też o losach kolegów, znajomych i ludności z tamtych terenów. W więzieniu zjadłem pierwszy - od dawna - porządny obiad, bo Sokołowi żona przynosiła gorące obiady, a on nie miał apetytu. Był wtedy kapuśniak - do dziś pamiętam. Dowiedziałem się też, że "Matros" już nie żyje /dostał serię z automatu sowieckiego/, że Krysiak ma zamiar odskoczyć na zachód.

W więzieniu w Lidzie zachorowałem na szkorbut i na świerzb. Opieka lekarska polegała na smarowaniu i oklejaniu bandażami papierowymi. Sanitariuszką była Żydówka. Prowadzone śledztwo nie było ciężkie, nie byłem bity. Pytano mnie głównie o drogę ucieczki, kto mi pomagał, itp. Nie powiedziałem nic o Pajaku i <sup>r</sup>eniu. W więzieniu nawiązałem kontakt ze swoim wujkiem-księdzem. Otrzymałem jedną przesyłkę: kożuszek, sweter i czystą bieliznę. Jak włożyłem na te wszystkie skorupy czystą koszulę, to czułem się ogromnie szczęśliwy. Wujek był kapelanem AK, był przy złożeniu broni, ale został przez sowietów zwolniony. Wrócił do parafii, potem został aresztowany, więziony, był na Syberii, potem został skierowany do Polski. W Brześciu zdążył odprawić <sup>szę św.,</sup> po której został ponownie aresztowany i już więcej nikt o wujku nie słyszał. Nazywał się Wacław Nurkowski. Na Kołymie spotkałem Polaka, który był z wujem w łagrze na Syberii i mówił, że ks. Nurkowski wyjechał do Polski i ja byłem przekonany, że wujek jest w Polsce. Dopiero jak wróciłem do kraju, to się dowiedziałem, że wuj nie wrócił do kraju i nie żyje.

W Lidzie otrzymałem wyrok 24.12.44r. - 10 lat ITL i 5 lat ppob. Uzasadnienie<sup>+</sup> przynależność do AK, zdrada ojczyzny - art. 63 § 1 kk białoruskiego. Po wyroku przebywałem jakiś czas w Lidzie. Byłem leczony, a w lutym lub marcu 45r. zostałem skierowany na etap. Zawieźli nas do Orszy - do więzienia przesyłkowego. Były tam b. ciężkie warunki - brak



wody, kanalizacji. Wodę przywoziły kobiety zaprzężone w kuchnie polowe. Panowała dezynteria

## IIB

dużo ludzi umierało. Uratowałem się może dlatego, że ze wspólnej celi /ok. 150 więźniów/ zostałem przerzucony z kilkoma Polakami /m.in. z p. Jastrzębskim czy Janowskim - przedstawicielem rządu lenińskiego, pochodzącym spod Szczuczyna Lidzkiego; córka była w Oświęcimiu, a on sam otrzymał niski wyrok - 3 lata z artykułu "znak, a nie skazał". Był nierozpoznany jako delegat rządu, ale ze mną się umówił, że jak któryś z nas pierwszy wyjdzie, to da znać rodzinie/ - za bójkę z ruskim złodziejem w celi, którą miał Jastrzębskiemu zabrać buty - zabrali nas do celi karnej, w której oprócz 3 Polaków byli złodzieje rosyjscy. Mielismy w tej karnej celi lepsze warunki, niż w normalnej i dlatego może przeżyliśmy. Z Orszy zostałem wywieziony na wschód /Jastrzębski trafił na W - do Workuty lub Peczory/ - na bardzo długi etap - do Buczty Machodki. W czasie drogi, 9 maja, pociąg zatrzymał się na stacji Zima i tam dowiedzieliśmy się, że zakończyła się wojna. Pociąg stał i każdy z nas miał nadzieję, że nas zwolnią i że wrócimy do Polski. W czasie tego postoju pociąg, który jechał ze wschodu na zachód miał napisy na wagonach: "Priwjet bratniej Polsce". Postój na stacji Zima trwał ok. 2-3 dni i pociąg ruszył, ale - niestety - nie na zachód tylko na wschód.

Machodka zapisała się w mojej pamięci jako coś strasznego. Zostałem tam skierowany do 3-ej strefy żeńskiej. Była to wydzielona strefa w strefie kobiecej. Baraki były zapelnione tak, że nie tylko na pryczach, ale pod i między nimi leżeli ludzie. Błatnyje leżeli na górnych pryczach i do nich przychodziły na noc kobiety - też błatniaczki - "ochotniczki" /Rosjanki/. Dostawały się do naszej strefy przez płot. Na tych górnych pryczach oglądały się filmy porno w żywym wydaniu. Zaprowadzono nas do łaźni. Tam robiono nam zdjęcia, odciski palców i poddano nas "sanobrabotce": fryzjerki-kobiety goliły nam włosy na głowie, pod pachami i wszędzie. W tym czasie nasze kobiety były obsługiwane przez fryzjerów-mężczyzn. Fryzjerzy i fryzjerki byli przestępcami kryminalnymi. Nasze fryzjerki miały

tatuaze na piersiach i na udach

- dobrze widoczny, bo obsługiwały nas w biustonoszach i majtkach. Mężczyźni-fryzjerzy też byli na wół nadzy. i dokonywali tej samej "san-obrabotki" na kobietach-więźniarkach. Chodziło zapewne o jeszcze jedno upodlenie więźniów. Upodleniem też był fakt, że w łaźni w Nachodce potrafili dać b. gorącą wodę, a potem w ogóle wodę wyłączyć, tak że człowiek wychodził cały namydlony /wtedy jeszcze mydło było/.

W Nachodce byłem ok. 2 tygodni. Tam po raz pierwszy dowiedziałem się czego o Kołymie: że jest to kraj, w którym droga prowadzi tylko w jednym kierunku - na Kołymę, powrotnej drogi nie ma, poprostu nikt stamtąd nie wraca. W porcie Nachodka załadowano nas na statek towarowo-pasażerski "Ural". Było nas pod pokładem kilka tysięcy. Były prycze, leżeliśmy jak śledzie, na pokład nie wolno było wychodzić. I popłynęliśmy... Polaków było chyba trzech. 16 czerwca 45r. przyплыliśmy do Magadanu. Tam skierowano nas do łaźni. Nie było tam już fryzjerek. Odzież wzięto na odwszenie, apuszczono nas pod prysznic. Obsługa była i damska i męska - złożona z więźniów. Do łaźni wydano nam nowe ubranie z b. cienkiego materiału: spodnie, bluzę, kalesonki, koszulkę gimnastyczną, czapkę z małym daszkiem, skórzane trzewiki amerykańskie i onuce z cienkiego jak gaza materiału. Udało mi się jeszcze zachować mój kożuszek. Zaprowadzono nas do baraków, w których były gołe prycze /nary/. Na kolację dano nam biały, puszysty chleb z mąki amerykańskiej. Jak zasypiałem, to poczułem, że ktoś usiłuje ściągnąć ze mnie buty, kopnąłem, nie pozwoliłem ukraść butów, ale już nie zasnąłem. Nad ranem zaczęto nas wywoływać z baraków i ładować na duże amerykańskie samochody z przyczepami. Samochody ruszyły na północ. Po drodze były punkty, na których zatrzymywano się i karmiono nas. Dawano najczęściej zupę nalaną do szaflika /w którym normalnie w łaźni ktoś się kąpał/. Taki szaflik z zupą przydzielano na 4-5 osób. Kto miał kżykę, <sup>dziękuję</sup> ten był szczęściarzem, bo zupa była gorąca i można ją było szybciej jeść. Do paru takich przystankach zachorowałem, dostałem biegunki i trafiłem do szpitala, prawdopodobnie w Susunarze. W czasie pobytu w tym szpitalu dowiedziałem się dużo o Kołymie - co się tu dzieje, jak ludzie żyją, zwł. "zakluczeni".

Jeden ze starszych /stażem kołymskim, nie wiekiem, choć wyglądał na starca/ powiedział do mnie: "synok, jeżeli ty chcesz żyć, to nie rabotaj i nie ganis za bolszoi pajku" - czyli, żebym nie starał się pracować tak aby otrzymać większą porcję chleba, ponieważ i tak mi to nie pomoże. Tę prawdę zrozumiałem i starałem się przez cały czas pobytu na Kołymie, a zwłaszcza na "złotykh przikach" realizować tę zasadę - czyli jak najmniej pracować. Po wypisaniu mnie ze szpitala /ponad 2 tygodnie pobytu/ zawieziono mnie na "prizk" Udarnik - na jeden z jego uczestków /oddziałów/. Był to już tzw. Dalstroj, który istniał od 1932r. Prizk Udarnik był jednym z wielu przików "Siewiero-Zapanowo Uprawlenija Dalstroja". Leżał w odległości ok. 1000 km od Magadanu. Oddział, na który trafiłem zatrudniał ok. 500 więźniów. i leżał na lewym /zachodnim brzegu rzeczki - dopływu rz. Kołymy. Baraki były zbudowane wg normalnego "łagiernego" schematu: pośrodku wejście, korytarz, naprzeciw drzwi do suczarni-umywalni, po obu stronach korytarza izby mieszkalne. W umywalni było koryto, do którego nalewano się wodę i wisiał ręcznik zszycy z jakichś worków - jedyny dla wszystkich więźniów z baraku. Ręcznik ten był tak przeraźliwie wudny i zawsze mokry, że trzeba było odwagi, żeby się nim wytrzeć, ale nie było wyjścia. W izbie mieszkalnej były prycze piętrowe z desek, bez materaców, bez pościeli, bez koców. Na środku izby stał piec z beczki po paliwie. W baraku spało ok. 100 więźniów. Oprócz baraków mieszkalnych, w zonie łagiernej była kuchnia ze stołową, punkt lekarski i chleborezka. Przy bramie stała wychta. Zona była ogrodzona drutem kolczastym, były wieże strażnicze, a na bramie napis: "Tolko czesnym trudom iskupisz swoju winu" - odpowiednik "Arbeit ~~macht~~ macht frei". Więźniów wyprowadzano do pracy, a raczej wyganiano z baraków, dając sygnał akustyczny młotkiem po szynie zawieszanej koło wachty. Do pracy przyjmował nas konwój. Otrzymaliśmy ostrzeżenie: "szag w prawo, szag w lewo - sczitaju pobieg - prinimaju orużije bez predupieżdenija". Szliśmy czwórkami trzymając ręce do tyłu. Przychodziliśmy do zony produkcyjnej, tam przyjął nas "prorab" i kierował do pracy. <sup>o</sup> a dostałem skierowanie do kopalni złota.

Był to szyb z drewna, wyciąg z kołem, który wyciągał taczki z dołu. Do kopalni wchodziło się po drabinie /głębokość kopalni 150-200m/ - przy samym wyciągu- windzie było światło elektryczne, ale w chodnikach już go nie było. Każdy z nas otrzymywał specjalne źródło światła, którym była bańka /pudełko/ po konserwach załadowane mechem, zalane nie przerobionym olejem maszynowym albo smarem. Zapalało się to i z taką pochodnią człowiek wchodził do chodnika i do "zaboju" czyli wyrobiska. Pracowałem przy ładunku urobku na taczki. Pracowałem do obiadu, na obiad wyszedłem z kopalni na obiad i więcej do kopalni złota nie wróciłem...

### III B

Pierwszy dzień w kopalni złota wyglądał następująco: po zejściu po drabinach i otrzymaniu tych świateł-baniek, które były też rozstawione w sztolniach, zaprowadzono nas do wyrobiska. Chodnik miał długość ok. 300m. Oświetlenie w sztolni i w wyrobisku, z którego należało wywozić odpalony urobek dawało światło, które wyglądało w ciemności jak czerwona plama pokryta latającym kopciem. Po przepracowaniu kilku godzin wyszedłem na przerwę obiadową, popatrzyłem na tych swoich nieszczęśliwych towarzyszy niedoli - każdy z nich był brudny, zakopcony, wyraźnie widać było tylko oczy - i postanowiłem więcej do kopalni złota nie wchodzić. Był to lipiec 45r. - jeszcze lato. Po obiedzie, jak wszyscy schodzili do kopalni, ja powiedziałem, że nie pójdę. Prorab się zdumiał: "jak to nie pójdiesz?" - "po prostu nie pójdę". Wówczas zaczął mi grozić, a po pewnym czasie wezwał ochronę /bojcow/ i ci odprowadzili mnie do izolatora. Izolator znajdował się w wydrążonej skale w zboczu góry. Była tam prycza z żerdzi nieckorowanych z sęczkami - i nic więcej. Kazano mi się rozebrać do naga i zamknięto samego. Zwyczaj był taki, że dawano porcję chleba /tzw. sztrafnaju"/ - 250g i co 3 dzień czerpak zupy. Przed każdym "rozwozem" /rozwożeniem ludzi do pracy/, a dzień pracy trwał przez cały rok 12 godzin, z wyjątkiem 1 stycznia, przychodził "nadieratiel i pytał, czy chcę iść do pracy. Co 3 dniach izolatora przychodził sam naczelnik "reżima" i pytał, dlaczego nie chcę pracować. Odpowiedziałem, że oni swoim ludziom za pracę u Niemców dają wyroki po 10 i więcej lat obozów, więc dlaczego ja - jako obywatel polski- mam

u nich pracować? - żeby mnie swoi aresztowali?. Odpowiedział coś w rodzaju "durak" i poszedł. Po następnych 3 dniach dostałem ubranie, więc jakoś lepiej było w tym izolatorze siedzieć, bo mimo lata, siedziałem jednak nago w wiecznej zmarzkinie - na tych żerdkach z sękami. Przesiedziałem w izolatorze chyba ponad 2 tygodnie. Znow przyszedł do mnie naczelnik i powiedział, że jeśli zdecyduję się na pójście do pracy, to mnie wypuści od razu. Powiedziałem, że do kopalni nie pójdę. Obiecał, że będę pracował na wierzchu i wyszedłem. Dostałem przydział do pracy przy tzw. amerykance, czyli urządzeniu do nycia złota. Urządzenie to w postaci skrzyni umieszczane było w potoku. Na dnie skrzyni był mech zaścielany jakimiś szmatami, na tym leżała metalowa krata na którą sypało się złotonosny piasek. Przemyczało się to wodą, która zносиła piasek i żwir, a złoto opadało przez kratę na maty. Musiałem odrzucać przepłukany piasek dość wysoko na hałdę nad potokiem. Po przepracowaniu kilku tygodni miałem naderwane ścięgna u rąk, a prawą rękę miałem mocno opuchniętą. Zgłosiłem się do "lepkoma", posmarował mi ręce kaliihipermanganicum i odesłał do pracy. Pracowałem 12 godz. dziennie. Była norma. Jeśli ktoś normy nie wykonał, to zostawał na następną zmianę i musiał wykonać normę ze zmiany 1-ej, a następnie, po tym krótszym z konieczności odpoczynku, wracał na swoją zmianę zasadniczą. W rezultacie człowiek miał coraz mniej sił, był coraz słabszy, bo wyniki pracy odbijały się na wyżywieniu - automatycznie zmniejszano normy jedzenia. Znow poszedłem do "lepkoma", ponieważ nie mogłem już pracować, a samo wyjście do pracy - jak mi powiedział prorab - oznacza, że muszę pracować; jeżeli będę wychodził do pracy, to mnie zmuszą - nawet przy użyciu siły fizycznej - do pracy. Będzie to przymus skuteczny i będę pracował "poki nie podochnę". Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia - nie wiedziałem co robić. Wokół byli sami obcy, ani jednego Polaka, nie mogłem z nikim porozmawiać, nikogo się poradzić. Na wachcie przy "rozwodzie" powiedziałem, że nie pójdę do pracy. Zbito mnie nogami, powalono na ziemię i tańczono po mnie butami. \*ostanowiłem, że mimo wszystko trzeba iść, ale ręce bolały, wszystko bolało. Poszedłem na "proizwotstwo"

Prorab powiedział: "masz pracować"... Było upalnie, a ja .... poszedłem w tajgę. Żołnierz krzyknął: "stoj, budu strielat", a ja szedłem... Usłyszałem wystrzał, ale był to wystrzał do góry - uprzedzający. Po chwili był drugi wystrzał i ten odczułem. Upadłem. Miałem przestrzelone prawe płuco. Po pewnym czasie podbiegli do mnie żołnierze, znalazł się naczelnik "reżima": "cztoż ty sdielał?" leżałem dość długo. Przy oddychaniu krew przechodziła przez otwory po wystrzale. Potem przyszedł jakiś wyższy rangą naczelnik, popatrzył i kazał wyprowadzić mnie do sangorodka odległego o ok. 6 km. W sangorodku zaopiekowali się mną bardzo serdecznie. felczerem był Rosjanin Żorż - podobno członek władz komsmożu z Moskwy, też więzień. Był również lekarz - polski Żyd. Był też bardzo serdeczny dla więźniów lekarz-więzień - Demisenko. <sup>U</sup>dzielono mi pierwszej pomocy, ale przez pierwszy miesiąc nie mogłem <sup>U</sup>władać prawą ręką. Potem, kiedy mi się poprawiło, nie wypisano mnie z sangorodka, ale zostawiono jako pacjenta. Powierzono mi lekkie prace takie jak: pranie bandaży, sprzątanie, pomoc innym chorym. W sangorodku byłem dość długo, później już jako sanitariusz. Asystowałem nawet przy kilku operacjach. W czasie mojej pracy w sangorodku /w Udarniku/ przewinęło się bardzo dużo chorych, w tym liczna grupa Estończyków, którzy pracowali w tym samym "złotym przisku" co ja. Ludzie ci po przyjeździe na Kołymę byli bardzo sprawni fizycznie. W początkowym okresie wyrabiali dużej ponad normę, ale przyszedł moment, kiedy na 1-iej zmianie nie wyrobili swojej normy, pozostali więc na następnej zmianie, a to pociągnęło za sobą szybki marsz "do dołu". Coraz mniej było sił, coraz mniej jedzenia i organizm coraz mniej odporny na choroby. Pamiętam że w zimie z 45/46r. z tych Estończyków prawie nikt nie został: zapalenie płuc, elementarna dystrofia - te były główne przyczyny zgonów. Potwierdziła się więc zasada, że za dużą pajką nie warto było gonić. Ale wszystko co dobre - a do takiego dobrego okresu w obozie należało zaliczyć pracę w sangorodku - wkrótce się skończyło. Przyszała jakaś komisja i trzeba było stamtąd iść na "prizk" również w obrębie Udarnika. Trafiłem na oddział "Moldiak", na którym były dość specyficzne wa-

runki. Okres, o którym opowiadam, był to okres rządów na Kołymie naczelnika "Dalstroja" - Nikiszowa. Ujął on swoje rządy po swoim poprzedniku Garaninie. Garanin - wg opowieści starych Kołymczan - był człowiekiem, który własnoręcznie potrafił rozstrzelać, zamordować, wydać wyrok przedłużający poprzedni, a w kręgu jego zainteresowań byli zarówno ci, którzy dobrze pracowali /bo tych potrafił również zniszczyć/, jak i ci, którzy nie chcieli pracować. Mówiono, że Garanin okazał się potem szpiegiem japońskim. Legenda i opowieści o Garaninie towarzyszyły często moim pierwszym latom na Kołymie. Nikiszow natomiast zobowiązał się podobno wobec radzieckiej ojczyzny, która była w potrzebie ~~wyniszczona~~ wyniszczona wojną, że gospodarkę kołymską będzie prowadził bez żadnych dużych nakładów ze strony "matierika". Nikiszow powiedział władzom z Moskwy, że w związku z trudną sytuacją ojczyzny nie żąda nic - ani ubrań, ani butów, żąda tylko ludzi, ludzi, ludzi....

† dlatego też, po wyjściu z sangorodka i trafieniu znów na "złoty przik" zastałem sytuację taką, że nie było ani bielizny ani ubrań. Jak sobie naczałstwo obozu radziło, żeby jednak praca trwała, a była zima ?.

Otóż część więźniów pozostawiano w baraku nagich a druga część w ubraniach szła do pracy. Mieliśmy stare, watowane ubrania, często już bez waty, które nakładało się na gołe ciało, podwiązywało się to drutem bo guzików nie było. Na nogi nakładało się "czunie" - buty zrobione ze starych fufajek. Jeżeli przedarła się podeszwa, a przecież ten materiał był nietrwały, to reperowało się jednak: kawałek starego prześcieradła czy szmaty moczyło się w wodzie, przykładano się do tych czujek i wystawiało na mróz. Namoczony materiał przymarzał, nie było dziury w podeszwie i ludzie mogli iść do pracy. A podobno był taki "nakaz", że nie wolno było wypuszczać więźnia w dziurawym obuwiu w zimie przy temperaturze poniżej  $-50^{\circ}$ .

Praca na Kołymie zimą /a zima trwała  $\frac{7}{8}$  miesięcy/, na otwartej przestrzeni, była w zasadzie dozwolona do  $-50^{\circ}$ . Ale organizacja pracy na przikach była inna. Część załogi pracowała pod ziemią i dla nich niska temperatura nie była przeszkodą wg władz. natomiast wykonywanie pracy

pod ziemią, czyli wydobywanie urobku ze złotonosnej żyły o wywołanie tego urobku na powierzchnię związane było przecież z pracą na powierzchni. Urobek łaadowało się z wyciągu elektrycznego do wagonetki. Przez jak czas byłem zatrudniony przy odwiąganiu takiej wagonetki z wyciągu i wysypywaniu urobku na hałdę. Pamiętam jednak dzień, kiedy temperatura była poniżej  $-66^{\circ}$  C. Koła wagonetki z urobkiem po prostu przymarzały do szyn. Wagonik podpychało sześciu ludzi i ledwo dawaliśmy radę. Byliśmy zresztą "dochodzącami". Na rękach mieliśmy rękawice - też z tych starych "buszłatów.. W pracy były przerwy - gdy wyciąg nie pracował lub nie było urobku. Wtedy można było się zagrzać w baraczkach z piecem /beczką po benzylinie/. beczka była czerwona, tak się paliło, ale mimo to plecy przymarzały do ściany. W barakach były takie same piece, tylko nie zawsze było paliwo. Pamiętam, jak raz "dniewalnyj" przykrył taki piec starym podartym buszłatem żeby "pieszka" nie zamarzała - bo nie było w ogóle opału. Spałem w czapce, która też przymarzała do ściany.

Raz w miesiącu prowadzono nas do łaźni. Na umycie się i namydlenie głowy do golenia dawali jeden litr wody.

też zimy w obozie spotkałem więźniów /m.in. ukraińca Głoduszko/, którzy chodzili zawsze z bańką po konserwach, a w tej bańce mieli wysuszony kał ludzki.. i jedli to. Bardzo wielu jadło też wysuszoną tzw. skórę siewę - żywicę z cedrów. Przyroda kołymska chroniła nas przed groźną chorobą - cyngą. Na zboczach sopek rósł tzw. słannik. Igły tych krzewów zaparzało się i piło się wywar. Była w nim duża zawartość witaminy C. Z tego słannika - już w sposób przemysłowy - administracja obozu wytwarzała słannik skoncentrowany podobny do gęstego syropu przypominającego z wyglądu miód. Łyżka takiego syropu pomagała na cyngę: zęby przestawały się ruszać i goiły się rany szkorbutowe. Ale słannik jednocześnie szkodził na pęcherz, na nerki i na serce i potem były powikłania.

Z Udarnika wyrwałem się na początku 48r. Trafiałem do szpitala w Susumanie, zostałem "aktirowany" - czyli całkowicie niezdolny do pracy.



Szpital susumański był wówczas dosyć "ciekawy". Mieliśmy 2 łóżka na 3 chorych. Były materace, prześcieradła i koce, natomiast chorzy byli nadzy. Jedzenie dostawaliśmy w stołówce. Potrawy podawali nam nasi współtowarzysze w takich samych strojach co my - nadzy.

Pewnego dnia przyjechała jakaś komisja i jej wyrokiem zostałem skierowany do centralnego szpitala na Kołymie - na lewym brzegu rzeki Kołymy. Były tam znośne warunki i stosunkowo dobra opieka i pomoc. Spotkałem tam Polaka o nazwisku Narkiewicz. /Była również lekarka-dentystka - Polka, zapisałem się do niej, ale chyba to nie była Polka, bo nie rozmawiała po polsku. Narkiewicz był więźniem, który trafił na "lewy brzeg z Indigirki - z obozu, w którym były bardzo trudne warunki, z obozu, w którym był również nie żyjący już mój starszy kolega - ś.p. Leopold Swikla. W obozie tym w ciągu jednej zimy z 3 tys. więźniów zostało podobno tylko 300. Wg relacji Narkiewicza i Swikli w obozie tym zdolnymi do poruszania się były tylko brygady truponosów /tzn. tych, którzy wynosili z baraków trupy/. Jeszta leżała ~~wykazana~~ wycieńczona z głodu ponieważ nie było nic do jedzenia. W Indigirce były podobno takie sytuacje, że w momencie, gdy lekarz wskazywał na leżącego nieruchomo więźnia i mówił, że ten nie żyje, więzień otwierał oczy i mówił: "ja jeszcze żywu", na co zdenerwowany lekarz odpowiadał: "wracz łuczsze zn znajet - eto zabierajties" i zabierali takiego, wrzucano do "susziłki na sztabel" /"susziłka" było to pomieszczenie na suszenie ubrań, ale w tym czasie służyło na podręczny magazyn trupów/. Więźniowie, którzy przeżyli zimę zaczęli otrzymywać jedzenie za okres, w którym jedzenia nie było. Ci wycieńczeni ludzie, jak dorwali się do chleba i większej ilości kaszy nie potrafili zapanować nad sobą, jedli łapczywie i - ginęli. <sup>1</sup> Właśnie ten nadmiar żywności był wówczas przyczyną śmierci wielu, wielu z tych, którzy zdołali przetrwać tragiczną zimę.

W szpitalu na lewym brzegu miałem również zdarzenie z sanitariuszem ukraińskim, który mnie uderzył. Nie pozostałem mu dłużny i trafił do izolatora. Izolator tam był wykonany cały z betonu. Początkowo

byłem w bieliźnie, potem dano mi waciaki. Dawali po 300 g chleba dziennie i co 3 dni czerpak zupy. Był to sierpień, ale w betonie było zimno. Z izolatora po 3 tygodniach zostałem skierowany na etap. Pojechałem tym razem na południe. Krzyjechałem na 103 kilometr od M Magadamu. Mieściło się tam "Uprawienie szosowych dróg", obok którego był oczywiście łagier. Samochód wiozący więźniów zatrzymał się i - o dziwo - pozwolono nam pójść na jagody. Poszedłem, byłem pewno dłużej niż inni, gdyż jak wróciłem, to samochodu już nie było. Moi współtowarzysze z lewego brzegu pojechali dalej, a ja zostałem w tym obozie na "sto trzecim". Zostałem wezwany do baraku starosty, dostanę "oper", ale jakoś się wytłumaczyłem i zostałem. Moje dokumenty jednak pojechały gdzie indziej. Po pewnym czasie z obozu tego skierowano mnie na sianokosy. Trzeba było kosić trawę. Mieszkaliśmy w prowizorycznym baraku. Był z nami "nadziebatiel", ale w zasadzie nie było tylu konwojentów, co w normalnym łagrze. Co prawda uczeekać nie było gdzie. Kosiliśmy zwykłymi kosami, z tym, że tam rosły nierówne kępy traw /"koczki"/, więc trzeba było tę trawę specjalnie wycinać.

Największą dolegliwością były komary, a zwłaszcza meszki, na które nie pomagały ani nakomarniki, ani rękawice, ani zawiązywanie rękawów - meszka wciskała się w zędzie. Po pewnym czasie na karku, a zwłaszcza za uszami miałem rany jak od oparzenia. Zgłaszałem się do proraba, mówiąc, że już nie wytrzymam, nie dam rady, ale on mówił, że żadnej recepty ani rady nie ma. Co mi zostało? - uciekłem. Uciekałem z powrotem do łagru na 103-ci. Wiedziałem, że po drodze jest opuszczony punkt z barakiem, w którym od czasu do czasu bywają zakwaterowani więźniowie <sup>4</sup> w czasie przejazdu na sianokosy/. Słyszałem również, że koło tego baraku jest jakiś ogród, w którym rośnie turneps /biała rzepa/ i że pod podłogą są schowane produkty żywnościowe. Uciekłem sam i trafiłem do tego punktu. Znalazłem turneps, sadło z niedźwiedzia, trochę mąki, usmażyłem jakieś naleśniki i poszedłem dalej zbierając jagody. Skończyły mi się zapalki, miałem jeszcze tytoń, chciałem zapalić papierosa... słyszę, że za krzakami ktoś też zbiera jagody.

Wychodzę z drugiej strony i patrzę, a to niedźwiedź się pasie "apami zbiera krzaki /a tam są wysokie/jagód i mordą zbiera. Wyszedłem chyba z dobrej strony, bo mnie nie zyuwały. Doszedłem do szosy. ~~zaskakam~~ Po paru dniach zameldowałem się w łagrze "na sto trzecim". Powitano mnie niezbyt radośnie, ale wytłumaczyłem się, że dłużej już nie mogłem wytrzymać. Skierowano mnie do saneczki mówiąc, że jest tam mój rodak. Okazało się, że był to Swikła. Chociaż byłem ostrożny, ale od razu przyznałem się, że jestem Polakiem, on też i że nazywa się Poldek. Zaczęliśmy rozmawiać i okazało się, że pracuje tu jako "lepko". Pokazał mi swoją aptekę, która była bardzo dobrze zaopatrzona, zwłaszcza w narkotyki /heroina, opium/. Oczywiście nie próbowaliśmy ich /narkomania zdarzała się, np. w sangorodku w Udarniku był lekarz z okrętu - narkoman/. Poldek opatrzył te moje pogryzione przez meszki miejsca i chyba dzięki jego wstawiennictwu, a może dzięki temu, że ciągle moich dokumentów nie było - udało mi się jakoś zatrzymać w tym łagrze. Początkowa moja rezerwa w stosunku do Poldeka przerodziła się w przyjaźń. Byłem z nim potem w Magadanie, potem znowu w "Lazo", później w szpitalu i Poldek ostatni kawałek chleba od ust sobie odejmował, przynosił i dzielił się /pomówienia dotyczące jego osoby odnosiły się do jego zachowania - jakoby bez godności - w ekstremalnych warunkach w Indigirce/. Potem mieszkałem z nim w Niżnim Simczanie, wróciłem z nim do Polski i uważam, że nie było zacniejszego ~~Rusaka~~ człowieka i lepszego Polaka. W tak trudnych warunkach, jakie były na Kojynie trudno przewidzieć, jak się człowiek zachowa. Przychodzą takie chwile, że ~~narkoman~~ zachowuje się tak niespodziewanie dla siebie, że nie mógłby sobie z góry narzucić czy zaplanować taką postawę / dobrą lub złą/.

W trzech latach "posuchy" były to moje pierwsze kontakty z rodakami - na "lewym brzegu" z Narkiewiczem, a tu - ze Swikłą. "a "103-cim" dostałem pracę jako stróż nocny przy składzie drewna. Był to w ogóle mały łagier i do pracy wychodzono bez konwoju. Pracowano tam przy robotach drogowych, przy składzie drewna, przy obsłudze jakiejś instytucji. Nieźle mi się tam powodziło. Przed wszystkim łagier ten leżał przy

głównej szosie kołymskiej, więc był ruch towarów. Poza tym byłem bez konwoju, pracowałem w nocy, a w dzień mogłem sobie coś skombinować. Np. "kombinowało" się ziemniaki, które były przewożone samochodami. Była zima, ziemniaki były przemarznięte, ale w skądziuku mogłem sobie je ugotować. To samo było z rybami. "Kombinowało" się również dla całego łagru, bo starosta mówił, że łagier potrzebuje drewna, więc w nocy brało się drewno ze składu, a ja jako stróż "nic nie widziałem". "Z tego się zupełnie nie wstydzę, było to rzeczą zupełnie normalną. Z Poldekim dużo dyskutowaliśmy, poznałem jego życie /pochodził z wileńszczyzny, pracował w konspiracji za czasów sowieckich, jego siostra była łączniczką między Wilnem a Warszawą w ZWZ potem w AK - zginęła na granicy koło Małkini, Poldek ożenił się 3-go maja, potem gestapo, ucieczka, przerzut na Wołyń - był inspektorem okręgu Luck - Wacek Kapisto był jego zastępcą do spraw dywersji itd, itd/. Było wtedy lepiej bo mogliśmy się wygadać, jedzenia było do syta, mogliśmy się wtedy umyć, wyspać itp. Po pewnym czasie zorientowałem się, że muszę zmienić pracę stróża, bo kierownik tartaku mówił, że są jakieś niedobory. Starosta przeniósł mnie na "dniewalnego" /sprzątacza/ nocnego. Pracowałem w biurze "Uprawnienia Szosiejnych dorog" i tam też miałem lekką pracę. Zastępcą kierownika tej instytucji był pułkownik Bystrow. Bardzo dobrze odnosił się do mnie, mówił per "synok" i dawał paczki papierosów. Miał w ogóle jakiś sentyment do Polaków. Mówił też, że posiada medal "Virtuti militari", ja protestowałem, że to chyba Krzyż, ale on upierał się, że to medal. Miał chyba ok. 40-tu lat.

Łagier na 103-cim to było takie miejsce na Kołymie, które pozwoliło mi na odzyskanie sił - i psychicznych i fizycznych - przynajmniej częściowo. Pobyt tam trwał jednak niedługo. W pierwszych miesiącach 49r. powiedziano nam, że powstał "Bierłag" i że zostaniemy skierowani jako polityczni do tego Bierłagu. Po przeszło 4 latach pobytu na Kołymie trafiłem po raz drugi do Magadanu - do obozu przejściowego. W Magadanie spotkałem dość dużo Polaków, m.in. nieżyjących już: Warsmana, Ochęduszkę Janusza Walickiego, a z żyjących: Staszka Czuruka, Janka Kłaka.

Narkiewicz został na "lewym brzegu" i potem nigdy się już z nim nie zetknąłem. Było dość dużo dziewcząt - Polek. - w sąsiedniej zonie. Odzielaliśmy je od nas płot z drutu kolczastego, więc mogliśmy do nich przerzucać listy. Na randki /przez druty/ chodziliśmy odpowiednio ubrani, np. w jakimś szaliku z ręcznika, do tego buszlat i oczy wpatrzone... Czasem listy wpadały, było dużo szumu, ale nikt za to specjalnie nie ucierpiał. Można też było obejrzeć gołe... pupy dziewcząt ponieważ ubikacja żeńska była naprzeciw naszej, z tym że od połowy do góry była ona zabudowana deskami, a od połowy do dołu desek nie było, więc jak dziewczęta kuczały, to siłą rzeczy było co oglądać. Kobiety nie wyglądały najgorzej, bo: po pierwsze - kobiety, podrugie - Polki, a po trzecie - potak długim okresie nie widzenia kobiet były dla nas cudowne. Poznałem wtedy białostoczczańkę - Ziutę Nosowicz. Utrzymywałem z nią kontakt listowny i dzięki niej, później, nawiązałem kontakt z domem. Swoją przyszłą żonę też wtedy widziałem, ale jeszcze się wówczas nie poznaliśmy. W magadanie przebywaliśmy ok. roku. Było tam nienajgorzej, gdyż mimo skromnych racji żywnościowych nie chodziliśmy do pracy. Było więc dużo wolnego czasu, dużo opowiadań, gier /np. w "inteligencję"/, śpiewów itp. Oprócz nas byli tam też Ukraińcy, Litwini i Rosjanie. W administracji obozu magadańskiego pracował Waksman i Janusz Walicki. Oni również zostali potem przesunięci do Bierłagu. Pan Waksman był to oficer Dwójki który był w stopniu kapitana lub majora /a nie pułkownika, jak to pisał Baczyński/. Janusz W. - wilnianin, wesoły chłopak, pracując w administracji mógł nam przemycać różne rzeczy, m.in. tytoń. Wrócił z Kołymy do Polski.

Na początku 50r. wywieziono nas z Magadanu samolotem. <sup>Ławarowym</sup> Wprowadzono do samolotu ok. 24 więźniów. W środku nie było żadnych ławek. <sup>na podłodze</sup> Kazano nam siadać tyłem do kabiny pilota. Pod kabiną stało 3 NKW-zistów z automatami. Ręce musieliśmy trzymać z tyłu. Uprzedzono nas, że jeśli ktoś wstanie, trzy ręce wysunie do przodu, to będą strzelać bez uprzedzenia. Leciliśmy ponad 1,5 godziny. Widzieliśmy przez okienko zaśnieżone szczyty... spokój... Wylądowaliśmy ok. południa. <sup>+</sup>trzewieziono nas samo-

chodem do obozu. Było to tzw. "Łazo". - posesiadłość zamieszkała przez "wolnych", zlokalizowany w wąwozie. Obok była kopalnia kasyterytu /cynny/. Górą szła szosa. /Baczyński w "Odrodzeniu" pisze, że jemu lekarz na "Łazo" zdradził tajemnicę państwową, informując, że oprócz kasyterytu wydobywa się tam uran. Wg mnie uranu tam nie było, bo nie było żadnych objawów chorobowych. Panowała pylica i ołowica, natomiast nie było napromieniowań. Z map geologicznych ZSRR wynika, że uranu tam chyba nie ma/. Kopalnia kasyterytu była głęboka, najniższy poziom znajdował się na głębokości 960m p.p.m. "Łazo" był odległy od Magadamu o ok. 1000km na N i podlegała "Siewierno-Wostocznemu Uprawleniju". W obozie baraków było dość dużo. Z jednej strony obóz przylegał do szosy, z drugiej - do zbocza górskiego. Ogrodzenie było typowe dla łagrów: palisada z drewna, druty kolczaste, wieże wartownicze, reflektory, karabiny maszynowe i baraki. Ponieważ był to już "bierłag", więc nie było więźniów kryminalnych. Otrzymaliśmy pościel i bieliznę. Była stołówka, można było korzystać z biblioteki /książki były różne, czytałem tam m.in. "Jak hartowała się stal"/. W "Łazo" dostaliśmy numery. Ja miałem: X/2/ -1 782. Numery nosiliśmy na plecach, na czapce i na prawym udzie. Numer był namalowany na kawałku materiału, który był naszyty na wycięty prostokąt. Na "Łazo" zostałem skierowany do pracy przy sortowaniu rudy. Nie pracowałem tam jednak długo, bo po pewnym czasie trafiłem w wolny od pracy dzień - do pracy w jednostce "Ochra" - do pododdziału wojskowego NKWD. Tam zapytano nas kto jest malarzem. Powiedziałem, że ja - choć nigdy pędzla w rękę nie trzymałem. Dostałem za zadanie wymalowanie jakiejś komórki. Pędzla nie było, ale jakąś szczotką wymalowałem to co kazali. I od tego czasu zacząłem pracować jako malarz. Zawodu tego nauczyłem się m.in. Rosjanin o nazwisku Tatarzyn i Węgier - Giero. Pracowałem z nimi zarówno w obozie, jak i wosadzie wolnych, a także w jednostce wojskowej, która nadzorowała pracę więźniów. W czasie pobytu w "Łazo" zdarzały się wypadki użycia broni przez konwojenta i zabijania więźniów. Konwojentami byli Rosjanie i mieszkańcy innych republik ZSRR odbywający służbę wojskową w jednostkach NKWD. Zapewne byli szkoleni na konwojen-

tów i po zmianie rocznika - jak przyszli młodzi - zdarzyły się te zupełnie niezasadnione przypadki zabójstwa więźniów. Np. jeden z nich polegał na wyznaczeniu "sztrafnej zony" czyli pasa do którego więźniowi nie wolno było wchodzić. Konwojent zapalał papierosa, mówił do więźnia "chcesz pokurیت?", dawał papierosa, więzień brał, a że znalazł się ręką czy głową na wyznaczonej zakazanej strefie, to konwojent wyciągał broń i strzelał zabijając więźnia. Były również przypadki użycia broni do kolumny prowadzonych więźniów. Ktoś np. odganiał ręką komary i od razu została puszczana seria. Jak pracowałem jeszcze przy sortowaniu rudy, i szedłem raz w kolumnie do pracy komar usiadł mi za uchem, odgoniłem go i zostałem zatrzymany i wyprowadzony z szeregu, z zaprowadzony do dyżurki "Ochry" i zбитy na stojąco kawałkiem polana - "opieczętowany" od góry do dołu - tylko za ruch ręki. Po prostu ci ludzie mieli świeże nauki w głowie i byli nadgorliwi.

Były też przypadki samobójstwa konwojentów, jeden palnął sobie w łeb na wieży strażniczej. Byli więc wśród nich bardzo różni ludzie. W czasie swojej pracy jako malarz, na osiedlu wolnych, czasami gospodarz u którego wykonywało się pracę dał "zakluczonnemu" jedzenie, a konwojentowi wódkę. Prowadziło się wtedy pijanego konwojenta do obozu.

Jako malarz miałem nienajgorsze życie, natomiast bardzo mizerne zarobki. Dlatego postanowiłem spróbować pracy w kopalni, bo dawali tam wyższe wynagrodzenie i lepsze "zaczoty". Ale komendatura obozu nie chciała stracić dobrego malarza-zduna i nie chcieli mnie puścić. Starym zwyczajem zastosowałem metodę - "do izolatora". - uparłem się i nie chciałem iść do swojej pracy tylko do kopalni. Z izolatora poszedłem w końcu do kopalni. Trafiłem do jednego z niższych połączów, na którym trzeba było wykonywać nst. normę: za 8 godzin 3 wagoniki zawieźć i wyrzucić 3 km pod ziemią. Po paru dniach miałem dość, więc dostałem się znowu do pracy jako malarz-zdun. Kopalnia ta była jednak już inna niż "złoty przisk" - było oświetlenie elektryczne wzdłuż chodników, w chelmach itp. Była to kopalnia bardziej stała, zagospodarowana. A w szybkach ze złotem była eksploatacja rabunkowa, a poza tym sezonowa - od 31 maja do 31 grud-

W kopalni w lecie pozyskiwało się tylko sam "spaj" - główną żyłę złota, która miała średnicę 30-40cm, więc nie drążyło się całego chodnika tylko samą żyłę. Wczołgawali się tam ludzie i jeden drugiemu łopatką podawał ziemię - leżąc bez bielizny, w starym waciaku, w zmarzlinie, i jeśli nawet dobrze pracował, to po 12 godzinach "szło wszystko do ziemi" - ludzie umierali. To było coś makabrycznego. Ja wspominał Nachodkę i złote prziski tak, jakbym był w piekle lub w czyścicu. Natomiast na "Łazo" to było zupełnie inne życie - była to regularna, dobrze urządzona kopalnia z windami, z obudową itp. Na "Łazo" powstała międzynarodowa organizacja więźniów. Celem jej była zbiorowa ucieczka z Kołymy poprzez zbrojny bunt w obozie, opanowanie zbrojowni, a następnie napad i opanowanie lotniska i drogą powietrzną wyrwanie się z Kołymy na Alaskę. Był to rok 1951 lub 52. Organizacja była oparta na systemie siódemek, z tym, że w poszczególnych siódemkach zachowywano tę samą narodowość / 7-ka Polaków, 7-ka Ukraińców itd./. Do organizacji tej należeli Litwini, Łotysze, Estończycy, Japończycy, Niemcy, Koreańczycy, Chińczycy. Organizacja posiadała broń - przede wszystkim białą: własnej produkcji granaty i pistolety wykonane w warsztatach mechanicznych w kopalni. Nastąpiła jednak wsypa - głównie w grupie ukraińskiej. Obóz zamknięto, przez 3 dni nie wypuszczano nikogo. Była szczegółowa rewizja. Znalezione dużo broni w "zawaleńkach" przy barakach /"zawaleński" to były dolne części ściany baraków obsypane nawozem lub ziemią/, pod podłogą w warsztacie krawieckim i szewskim. Muszę wyrazić duże uznanie tym, którzy wpadli - ani jeden Ukraińiec nie wydał ani jednego więźnia innej narodowości. A wykryci "spiskowcy" byli tak katowani, tak bici, że wyglądali jak żywe trupy. Podobno mózgiem tej organizacji był szef sztabu Własowa - płk. Smirnow, który również został aresztowany, wywieziony i najprawdopodobniej stracony.

Z "Łazo" zostałem zwolniony po odbyciu skróconego wyroku /zaliczono mi "zaczoty"/. Wyszedłem na wolność 5 marca 1953r. i wraz z grupą innych zwolnionych więźniów zostałem przewieziony do Siejmczanu /ok.



Z komendantury w Siejmechanie część z nas została wysłana do miasteczka /już bez konwoju/ żeby coś zjeść, a część została aby załatwić sprawy formalne. Byłem w grupie, która formalności miała załatwić w drugim terminie, więc z kolegami poszliśmy do stołówki, żeby zjeść pierwszy - po wyjściu z obozu na wolność - obiad. Kiedy wychodziliśmy ze stołówki, przez głośnik na ulicy usłyszeliśmy, że umarł Stalin. W komendanturze oficer powiedział, że dziś już nas nie będzie załatwiał, żebyśmy gdzieś przemocowali i zgłosili się następnego dnia. Poszedłem do kolegów, którzy już wcześniej byli zwolnieni. Byli to: nieżyjący już Janusz Walicki i Poldek Swikła. Nocowałem z jednym Rosjarem, który miał wolne miejsce w baraku. Na drugi dzień zgłosiłem się do komendantury. Każdy z nas musiał podpisać:

- dokument o "wiecznej zsyłce" - "specposielenie", tzn. że przyjmuje się do wiadomości,
- Oświadczenie, że nie można w żadnym przypadku zdradzać tajemnic obozowych i więziennych, bo zato grozi odpowiedzialność karna i powrót do obozu,
- dokument, że możemy się poruszać bez zgody komendantury w promieniu 50 km,
- podpisanie - że otrzymujemy zaświadczenie tożsamości, które musi być przedłużane co 2 tygodnie przez Speckomendanturę.

Po załatwieniu tych spraw urzędowych zgłosiłem się do przedsiębiorstwa do pracy /po wyjściu z obozu miałem ok. 600 rubli - było to niewiele, kupiłem za to buty/. Podjąłem pracę jako cieśla w grupie remontowo-budowlanej i zostałem skierowany do lasu do budowy baraków. Było to niedaleko od Siejmechanu, tak że po pracy na noc często wracałem do kolegów do miasteczka.

W pierwszych dniach po śmierci Stalina odbywały się zebrania, były wywieszane portrety Stalina, wygłaszano referaty, w których omawiano zasługi Stalina, rozwój potęgi ZSRR, mówiono m.in., że ZSRR po rewolucji wyglądał jak drzewo pozbawione konarów, jedynym prawie konarem była Mongolia, ale po II-jej wojnie świat., dzięki geniuszowi

drzewo to otrzymało dużo konarów: Polskę, Węgry, Czechosłowację, i wszystko wskazuje na to, że drzewo zostało umiejętnie wyhodowane. i jest przygotowane do tego, żeby korona tego drzewa była jeszcze większa i piękniejsza... Niektórzy z Rosjan przeżywali autentycznie śmierć Stalina. Pamiętam, że jeszcze w Kałudze jeden z młodszych dowódców rosyjskich mówił, że może się założyć, iż jeśli się weźmie jakąkolwiek gazetę sowiecką i złoży się ją na format bibulek do papierosów, przetnie się to na pół, to na każdym kawałku będzie co najmniej raz imię Stalina. Mówił to z dumą. Kult Stalina u wielu był autentyczny /jedna kobieta mówiła, że modliła się do Stalina, którego wizerunek stał nad jej łóżkiem/.

Na wolności pracowałem przy budowie wspomnianych baraków. Budowano je z okrągłaków, dachy były prymitywne - z drewna spajanego gliną. Pierwsza moja praca trwała ok. 3 miesiące, potem przeszedłem do pracy w Siejmczanie jako malarz pokojowy. Pomagałem koledze budować dom i myślałem o budowie własnego - żeby mieć swoje miejsce, w którym mógł być sobą, żeby można było swobodnie porozmawiać, odpuścić... I zacząłem ten dom budować. Z Polakiem "przybudowaliśmy" się do domu Janusza Walickiego, mieliśmy tam pokój i kuchenkę. Wszystkich Polaków, którzy wychodzili z obozów i którzy pierwsze dni wolności - jak wszyscy - mieli trudne - staraliśmy się ugościć u siebie. Problemy po wyjściu z obozu polegały przede wszystkim na poczuciu samotności i braku dachu nad głową, zwłaszcza do przenocowania. Przez nasz dom przewinęło się więc wielu Polaków z obozów. Staraliśmy się tych kolegów tak ukierunkować, żeby nie szukali zajęcia tylko w wódce, bo to się zdarzało. Wprowadziliśmy taki zwyczaj, że przez 10 dni lub dłużej każdy z nich miał u nas zapewnione wyżywienie i spanie /organizowaliśmy to kolektywnie/, ale wódki nie było i nikt nie miał prawa jej postawić. To było takie pierwsze miejsce - "po drutach". Zwykle to był realny fakt, natomiast jeśli chodzi o powrót do kraju, to mieliśmy irracjonalne przekonanie, że się uda, że nie będziemy tu wiecznie. Ale po prostu trzeba było jakoś żyć. Nikt z nas początkowo przecież nie wierzył, że wyrok 10 lat odbędziemy

- a odbyliśmy. Po śmierci Stalina, w czasie zsyłki, jeszcze się nie mówiło o żadnej amnestii, nie było konkretnej nadziei. Z Kołymy się przecież nie wracało. Pierwszy masowy wyjazd to był ten, w którym ja z żoną wyjechałem. Przedtem były pojedyncze wyoadki, nawet w 42r.

Po pewnym czasie zacząłem budować własny dom. Nie myślałem jednak o tym, żeby mieszkać w nim samotnie. Dziewcząt - Polek tam nie było. Była tylko jedna starsza pani - P. Karpowicz z Polesia - wywieziona z niedużego majątku. Wyszła za mąż za pana Karasia - polskiego Żyda, krawca. Wychowywali oni dziewczynę - Polkę, która urodziła się już w ZSRR w Winnicy. Pani K. dobrze się tam urządziła, miała własny domek. Potem jeszcze przyjechała do jednego z kolegów pani Genia, a więcej Polek nie było. Chciałem więc nawiązać kontakt z Polką. Dopiero później dowiedziałem się, że moja obecna żona mieszkała na 72kilometrze. Wiadomość tę przekazał mi kolega - Mirek Malinowski /było to nazwisko pod jakim przebywał na Kołymie, w polsce nazywał się Kłyczek, już nie żyje/. Był to chłopak ze Lwowa, pracował w konspiracji z moją żoną. Dał mi adres jakiejś dziewczyny, napisałem do niej list, po pewnym czasie dostałem odpowiedź - była to więc miłość "korespondencyjna".

Zacząłem się starać w Spec-Komendanturze o pozwolenie na małżeństwo. Wymienialiśmy z przyszłą żoną listy, fotografie, kupiłem aparat fotograficzny "Feda", robiłem dużo zdjęć. Starąłem się o sprowadzenie Krzysi do mnie. Na to trzeba było uzyskać zgodę mojego komendanta i jej komendanta - nadal byliśmy jakgdyby rzeczami należącymi do odpowiednich "Speckomendantur". Wreszcie uzyskaliśmy zgodę i 12 czerwca 55r. moja żona przyleciała samolotem do Siemczanu i odtąd jesteśmy razem...

Po wyjściu z obozu postanowiłem sobie, że będę za wszelką cenę dążył do tego, aby wyjechać nie tylko z Kołymy, ale i ze "wiązku Radz. - do Polski, do matki. Chciałem więc nawiązać kontakt z matką. Pisałem do wszystkich instytucji ażeby zezwolili mi na wyjazd do domu. Pisałem do władz MWD [= NKWD/], do poselstwa polskiego w Moskwie, do Wandy Wasilewskiej. Otrzymałem odpowiedzi nic mi nie załatwiały, ponieważ ambasada polska w Moskwie pisała, że mogłaby mi wydać paszport polski jeżeli

przedłożę jej paszport nansenowski, a taki paszport wydaje "Oblast-naja" Komenda Milicji. Z kolei, milicja mówiła, że bardzo chętnie mi taki paszport wyda, jeżeli ambasada polska wyda mi dokument, że jestem obywatelem polskim, a jak wiadomo po 17.09.39r. mieszkańcy Białegostoku utracili obywatelstwo polskie. Wanda Wasilewska napisała, że ona nie jest w stanie pomóc i na tym się skończyło. Koledzy się ze mnie trochę śmieli, że ja tak dużo piszę, ale napisałem jeszcze do marszałka Woroszyłowa - o błędnym kole, które się stworzyło i że ja, Polak, urodzony w Polsce i obywatel polski, który dzięki wojnie trafił do ZSRR, odbyła karę /jeśli nawet było za co - to ją odbył/, i w tej chwili chce wrócić do ojczyzny i do rodziny. Nie wysłałem tego listu przez pocztę lokalną, ale przez jednego z wolnych, zatrudnionych okresowo na Kółmie, który wysłał ten list z "matierika" - z Moskwy. Zapomniałem po pewnym czasie o tym liście, aż nagle, w roku 55 zostałem wezwany do Spec-Komendantury i opiekujący się nami lejtnant Ufnalow zaczął mnie strasznie besztać za to, że ja bez ich zgody i powiadomienia władz napisałem list do Woroszyłowa. Potem powiedział, że w mojej sprawie przyszedł list z "Wierchnowo Sowietu" i odczytał mi z niego ostateczne zdanie: "naprawit na rodinu" i podpis: Klement Jefremowicz Woroszyłow. Chciał się podpisać, że przyjąłem do wiadomości i tak ta sprawa została załatwiona. Natomiast poszukiwania mojej rodziny rozpocząłem przez Czerwony Krzyż i "Półmiesiąc" /anal. do PCK/. Napisałem do nich swój dawny adres białostocki, informację, że zostawiłem tam matkę i brata, że piszę do nich od dłuższego czasu i nie otrzymuję odpowiedzi. Po pewnym czasie otrzymałem z Czerwonego Krzyża i Półmiesiaca odpowiedzi z Moskwy, że zajęli się moją sprawą, że proszą o dalsze informacje. Posłałem jeszcze adres mojego stryja. Czekałem dalej, otrzymywałem następne listy z żądaniem dalszych uzupełniających danych i zapewnienia, że czynią starania aby moją rodzinę odnaleźć. W tym czasie przyjechał do mnie kolega Tadek Ochęduszek /już nieżyjący/, zatrzymał się już w moim własnym domu i powiedział, że znana nam obu koleżanka z Białegostoku - Ziuta Górska utrzymuje kontakt listowny z rodziną w Białymstoku

Napisałem do Ziuty i prosiłem ażeby przez jej rodziców znaleźć moją rodzinę. Wkrótce potem otrzymałem od mojej mamy telegram, że żyją i proszą o podanie jak moje zdrowie i co u mnie słyhać. Był to rok 55 - pierwsza wiadomość od matki, chyba od 41r.... Poszedłem na pocztę nadałem telegram, telegram trafił, wkrótce dostałem list i rozwinęła się korespondencja - jak gdyby nie było żadnych przeszkód. W tym czasie dostałem kolejny list z Czerwonego Krzyża i Półmiesiąca, w którym zapewnili mnie ponownie, że czynią wszystko, co jest możliwe, aby odnaleźć moją rodzinę i że proszą o dodatkowe informacje /osoby, adresy/. Pomogłem im: napisałem krótko, że dziękuję za ich starania, że już nawiązałem kontakt z matką, która mieszka pod adresem, który im podałem w pierwszym liście skierowanym do nich.

Poczucie humoru mieliśmy. Mieliśmy specyficzny humor, który występował i w obozach, i więzieniach, nawet w bardzo ciężkich chwilach - humor taki trochę wisielczy, który był potrzebny do tego, aby przetrwać. To było odprężenie. Nie zawsze wolno się było zamartwiać, nie zawsze można się było modlić, ale żyć trzeba było.

W czasie, gdy żona przyleciała do mnie do Simczanu, wiedziałem już, że mam zgodę na wyjazd. Ujrzałem wtedy żonę po raz pierwszy na "własne oczy" - nie z fotografii. Mimo tego, że się przedtem nie znaliśmy, to wychodziliśmy z zakazania generalnej przesłanki: jesteśmy Polakami, mamy wspólne doświadczenia łagierne, że łączy nas bardzo wiele, a to co może dzielić jest jeszcze nieznane. W ogóle na Korymnie trudno było wyobrazić sobie, że Polak to ktoś obcy. Każdy Polak był swój. Ta więź między Polakami chyba przypominała tę mocną rodową więź Żydów, bo na Korymnie myśmy byli taką mniejszością. Nie ważne było, jakie kto ma poglądy, zasady, mógł być nawet kózuzem - ale był Polakiem. Tam, wtedy, zrozumieliśmy te instynkty, które działają w mniejszościach narodowych.

16-go czerwca 55r. zostałem wezwany do Spec-Komendantury. Przyjął mnie major NKWD, który przyjechał z Magadanu. Po sprawdzeniu nazwiska padło pierwsze pytanie: Czy chce jechać do <sup>f</sup>olski? Powiedziałem, że

oczywiście tak. Zaczął wypełniać dokumenty. Kiedy doszedł do mego stanu cywilnego, powiedziałem, że jestem żonaty i że żona jest tu ze mną i że chcę razem z nią wyjechać. Poprosił wtedy żonę do komendantury. Spytał o dokumenty małżeńskie. Odpowiedziałem, że ślubu jeszcze nie mamy, ale mamy zamiar się pobrać. Okazało się, że może nas zarejestrować na wyjazd dopiero wtedy, jak będziemy mieli dokumenty. Było to rano, więc poradził, żebyśmy od razu poszli do tamtejszego Biura Stanu Cywilnego. Zgłosiliśmy się tam. Urzędnikiem była bardzo sympatyczna pani - żona Bohatera w. Radzieckiego, lotnika, aktualnie zatrudnionego na liniach cywilnych obsługujących port w Siemczanie. Pani ta kazała nam wypełnić druczek i powiedziała, że za 2 tygodnie udzieli nam ślubu. Wytłumaczyliśmy, że jest to niemożliwe, że musimy mieć ten papier dzisiaj, jesteśmy Polakami, jest okazja wyjazdu z Kołymy do Polski, że na to świadectwo ślubu czeka major NKWD, który nas wysyła. Popatrzyła na nas i powiedziała: dobrze, wobec tego załatwię sprawę z datą wsteczną i przyjmę to podanie. W czasie, gdy udzielała nam ślubu, do tego domku, który stał przy łące, przez otwarte drzwi zajrzały dwa końskie łby z dzwoneczkami na szyi. Byli to jedyni świadkowie naszego ślubu. ... Pani urzędniczka się przestraszyła, ja konie wygoniłem, ceremonia dobiegła końca. Wydano nam świadectwo ślubu i z tym świadectwem prawie pobiegliśmy do Spec-komendantury, aby zastać jeszcze pana majora. Major znalazł się bardzo na miejscu, złożył nam życzenia jako nowożeńcom, wygłosił krótkie przemówienie, w którym życzył nam wszystkiego dobrego, zaznaczył, że życzy nam naprawdę małżeńskie szczęście - abyśmy nie traktowali tego związku tylko jako wybiegu taktycznego związanego z wyjazdem do Polski. Zastosowaliśmy się do tego - razem wróciliśmy i razem jesteśmy dotychczas.

Przed wyjazdem do Polski miałem jeszcze parę problemów: zostałem zwolniony dyscyplinarnie z pracy za odmowę wyjazdu na tzw. sianokosy. Odmówiłem z paru powodów: wiedziałem co to są sianokosy na Kołymie, poza tym nie mogłem tak od razu wyjechać od żony w miodowym miesiącu. Tych powodów władze nie uwzględniły i zostałem zwolniony "na otkaz"

/ = za odmowę/. Pracy nie podjąłem. Pracowałem prywatnie - malowałem, tynkowałem, budowałem piece. Żona przyjmowała zamówienia. Pracowałem w mieszkaniach naczelników i na zlecenie jednostek państwowych: oni dawali materiały, a ja wykonywałem pracę koczując do niej często swoich kolegów. Był oficjalny odbiorca, oficjalna zapłata z potrąceniem podatku. Nie trzeba było żadnych zezwoleń. Odwołałem się w międzyczasie od decyzji o zwolnieniu dyscyplinarnym, ale niestety sąd utrzymał tę decyzję w mocy.

W okresie zsyłki w Simeczanie stworzyliśmy z kolegami-ekswięźniami zżyłą grupę. Sprowadzaliśmy książki /nawet polskie/ z Moskwy - z księgarni za zaliczeniem pocztowym. Miałem dobry odbiornik radiowy, więc w wybudowanym przeze mnie domu można było posłuchać Głosu Ameryki /Europę trudno było złapać/ - słuchaliśmy audycji w polskim języku, polskich piosenek. S.P. Leopold Swikła miał zacięcie literackie, pisał wiersze. Przychodził do nas, czytał te wiersze, żona smażyła pączki, było trochę koniaku, trochę wspomnień /tych słonecznych - z dzieciństwa/ i tak powstała taka polonijna grupa. Były wymiany listów, które do nas dochodziły z kraju. Tego życia jednak nie traktowaliśmy jako czegoś stabilnego, zamkniętego. Każdy miał jedno wielkie marzenie żeby się stamtąd wyrwać, ~~szłyby~~ żeby przynajmniej 5, 10 lat pożyć normalnie, być sobą, mówić co się chce i robić co się chce. Te marzenia były chyba najważniejsze. Kiedy otrzymaliśmy polskie gazety z kraju /od mojej mamy/ - to były one również masze, polskie, mimo, że treść nam mogła nie odpowiadać.

Już po przyjeździe do mnie Krzysi dostałem wiadomość z "Łazo", że jeden z naszych starszych kolegów - Wiktor Dramowicz uległ wypadkowi w kopalni, ma uraz kręgosłupa i sparaliżowane dolne kończyny. Pojechałem do "Łazo", myślałem że mi się uda przenieść go do siebie. Ale było to niemożliwe.... Z innych kolegów - Sawicz zmarł na wybrzeżu na Kołymie. Drawicz był z grupy sądzonej wspólnie z Piotrem Kanoniewiczem. Obydwaj wrócili z Kołymy. Byli dwa razy sądzeni, wywiezieni do łagru, potem ściągnięci do Wilna /pod Pnotje/ i tam mniejszy wyrok /10lat/ został im zamieniony na 25 lat. Piotrek potem...

odwiedzał nas w Białymstoku. Teraz już nie żyje. Miał bardzo trudny powrót do Polski, bo żona niechętnie go powitała. Wyjechał od niej na Wybrzeże, był listonoszem, a potem w Gdyni wciągnęli go przedwojenni znajomi do marynarki, gdzie pracował jako inżynier-elektryk. Nie wiadomo mi co się stało z Dramowiczem. Prawdopodobnie został pochowany na "Łazo".

Wyjechaliśmy z żoną do Polski w połowie października 55 r. samolotem do <sup>Magadanu</sup> Magadanu. Byliśmy tam 2 tygodnie "na pierdesyłce". Wówczas baraki były już otwarte, wieże wartownicze nie obsadzone przez straż, mieliśmy możliwość swobodnego poruszania się po obozie i całym <sup>Magadanie</sup> Magadanie. Tam trzeba było skompletować dokumenty. Okazało się, że w spisie wyjeżdżających nie ma żony, bo dokumenty z obozu na 72-gim jeszcze nie zdążyły dojść, ale wszystko się na szczęście wyjaśniło.

W tym czasie było jeszcze dużo obozów dla więźniów. Spośród Polaków nie wszyscy od razu wrócili, część przyjechała do Polski później. 29-go października dostaliśmy się na statek "Feliks Dzierżyński". Padał wtedy śnieg z deszczem... Płynęli z nami Węgrzy, Czesi, Niemcy, Rosjanie. Płynęła też część żulików rosyjskich, przygotowujących się do obrabowania nas. My jednak byliśmy przygotowani na to potak długim pobycie na Kołymie i daliśmy im wycisk. Na okręcie mieliśmy opiekuna z ramienia NKWD, który w czasie podróży zwrócił nam pieniądze za bilety lotnicze i okrętowe oraz wypłacał diety na okręcie. Po wypłynięciu z Magadanu weszliśmy w burzę i straszną mgłę i podobno omal nie zderzyliśmy się z jakimś japońskim statkiem. W czasie sztormu otworzył się jeden bulaj i woda wdarła się do kajuty. Jeden z Polaków /Feluś?/ w czasie tego sztormu dostał ataku szału. Dopłynął z nami do Nachodki, ale później, w Moskwie gdzieś się zawieruszył. W czasie sztormu jedna z Polek - Czesia Szaniewska - urodziła dziecko, które przyjął lekarz Polak. W Nachodce lub Chabarowsku Czesia została w szpitalu, ale później z dzieckiem przyjechała do Polski.

Zanim przypłynęliśmy do Buchty Nachodki, dziewczęta nasze uszyły nam czerwono-białe beretki, które nosiliśmy w lewek klapie, tak że w porcie



każdy z Polaków był odznaczony barwami narodowymi. W Nachodce był bardzo dobrze zaopatrzony bufet: jabłka, chałwa, cukierki, orzechy, papierosy. Myśmy weszli i kupowaliśmy, natomiast Rosjan nie wpuszczono, bo bufet był tylko dla cudzoziemców. Bufet dla Rosjan był natomiast zupełnie pusty. Z Nachodki przejechaliśmy koleją do Chabarowska i tam zatrzymaliśmy się ok. 2 tygodni. Mieszkaliśmy na stadionie MWD, część w hotelu MWD [=eks-NKWD/]. Wdobywały się w tym czasie uroczystości związane z rocznicą "ewolucji Paździrnikowej. Dostawaliśmy diety, wyżywienie za nie. Nasz "opiekun" z MWD powiedział nam, że w Chabarowsku bywają przypadki chuligaństwa, wobec tego prosił, abyśmy w wypadku napadu bili pierwsi i dali znać pod odpowiedni telefon. Wypłacono nam pieniądze, które wpłaciliśmy /pracując po wyjściu z obozu/ na pożyczkę narodową. Pożyczka ta była przymusowa - potrącano nam z pensji. Za te pieniądze dokonaliśmy drobnych zakupów - aparat fotograficzny, radio, trochę ubrań. Z Chabarowska w osobowych wagonach odjechaliśmy na zachód. Karmieni byliśmy na wyznaczonych stacjach: obiad i suchy prowiant na śniadanie i kolację. Kapiatok był w wagonach. Jechaliśmy przez Syberię. Była już zima, ale na polach pracowały jeszcze kombajny - kończyli żniwa. Gospodarkę radziecką było widać jak na dłoni - na dworcu, na mrozie leżały całe sterty ziemniaków. Jechaliśmy przez Moskwę. Pociąg się zatrzymał i do wagonów weszły dzieci, które prosiły o chleb. Daliśmy im chleb i trochę kiełbasy. Konduktorzy wyganiali te dzieci, mówiąc, że są one z domu dziecka, w którym wszystko mają. Przyszła też do nas delegacja z ramienia MWD i ambasady polskiej i pytała nas o samopoczucie. Powiedzieliśmy wówczas, że co prawda my jedziemy do kraju, ale bardzo wielu Polaków zostało jeszcze na Kółmie. Stwierdzili, że nie jadą tylko ci, którzy chcieli zostać. Jechaliśmy potem do Lwowa. Pociąg tam się zatrzymał dłużej. Wyszliśmy z żoną na ciemny, ponury dworzec i zobaczyliśmy, że to zupełnie nie to samo miasto. Rodziny żony już wtedy we Lwowie nie było - wyjechali do Polski, do Gliwic. Poza dworzec nie wychodziliśmy, bo gdzieś w głębi tkwił w nas lęk i niewiara w to, że możemy jeszcze nie wrócić do Polski. Zdarzały się bowiem wypadki, że już na samej granicy zatrzymywano i

zawracano.... Granicę Polski przekroczyliśmy w nocy, ale jeszcze przed granicą była rewizja. Zniszczyliśmy wszystkie papiery, listy itp. Pozwolononam zabrać tylko 25kg papierów. Nie wolno było poza tym przewieźć książek wydanych przed 53rokiem. Część listów i dokumentów jednak przewieźliśmy. W Żurawicy powitano nas napisem: "Witajcie rodacy". Obsługiwała nas młodzież ze Służby Polsce - robili zdjęcia itp. Przechodziliśmy tam też badania lekarskie. Otrzymaliśmy bilet bezpłatny do Białegostoku - moja żona po raz pierwszy miała się wtedy podpisać moim nazwiskiem. Wiele osób też poraz pierwszy od lat podpisało się swoim własnym nazwiskiem, bo w obozach byli pod innymi - konspiracyjnymi /np. Wacek Kopisto występował cały czas ajko Jaworski, Kłeczek - jako Mirek Malinowski/. Inni mieli zmienione daty urodzenia...

Pojechaliśmy przez Przemyśl i Warszawę. Tam odwiedziliśmy rodzinę kolegi, który został na Kołymie /Tadka Jaworskiego - w Pyrach Poduchownych pod Warszawą/. Taksówkarz warszawski obwodził nas wokół Pałacu im. Stalina myśląc, że robi nam tym frajdę, a myśmy przecież za ten pałac drogo zapłacili /złotem/. Nie mówiliśmy nikomu o obozach, tylko skąd wracamy. Z Warszawy 4-go grudnia pojechaliśmy do Białegostoku. Na dworcu spotkała nas siostra ze szwagrem. Rozpoznaliśmy się jakoś i pojechaliśmy do domu rodzinnego. Dowiedziałem się wtedy, że kiedy ja wyjechałem z Kołymy /w październiku/ zginął w wypadku drogowym mój brat. A jego dziecko urodziło się w dniu naszego powrotu do domu. W domu powitała nas mama.

W styczniu 56r. podjąłem pracę w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego w Białymstoku -- jako malarz. Zima była dość trudna, roboty malarskie nie miały tzw. frontu. Za styczeń zarobiłem 224zł. Żona była w ciąży. Nie mieliśmy nic, mieszkaliśmy u mamy. Otrzymałem zasiłek 3tys.zł płacony w ratach. W lutym zacząłem trochę lepiej zarabiać /malowałem m.in. w Komitecie woj. Partii/. Jeszcze w styczniu zacząłem naukę w Technikum Budowlanym w 1.-ej klasie, na 2-gim półroczu. Wiadomości z matematyki przypominał mi mój młodszy brat z Gdańska. I tak się to życie na wolności w Polsce toczyło: praca i nauka.

Do pracy przyjęli mnie bez zastrzeżeń. Myśmy tylko nikomu nie mówili że byliśmy w łagrach. Mówilem, że byłem AK-owcem i że byłem w ZSRR. Rozmowa na temat przeszłości odbyła się tylko raz w WKR - przy załatwianiu rejestracji wojskowej. Zadawali pytania: co się robiło w czasie wojny? - odp.: było się w AK, rozkazy się wykonywało? - odp.: wykonywało, a jakie? - odp.: jak kazali stać na warcie, to się stało - tak jak w wojsku. Takie same pytania dotyczyły pobytu w jednostce radzieckiej - co się konkretnie robiło? Odpowiadałem, że to co w wojsku, a co konkretnie, to spytajcie swoich sojuszników. Poza tym nikt żadnych sondaży nie robił, zwłaszcza mnie się nie czepiali - jako pracownika fizycznego. Start w Polsce był więc trudny, bo pracowałem tylko ja jeden dzień i jeszcze się uczyłem. Poza tym trudno było się ~~zadaptować~~ <sup>zadaptować</sup> nie tylko do warunków, ale i do klimatu. Miałem np. częste krwotoki z nosa. Po pewnym czasie musiałem zrezygnować z nauki, bo musiałem brać "chałtury". Szkoda mi jednak było nauki, więc obłożyłem się książkami /a był już wtedy mały synek w jednym pokoju z nami/ i skończyłem jednak to technikum - maturę zrobiłem w 60r. Zdałem potem na studia zaoczne - wydz. Prawa na uniwersytet. Zawsze mnie nurtował problem ówczesnego i w oparciu o co zostałem skazany? Na Kółmie czytałem trochę dzieł pana Wyszyńskiego i jego teoria analogii jakoś nie bardzo mnie przekonywała. Zostałem więc prawnikiem. <sup>4 lata</sup> Jeszcze przed studiami zdobyłem kwalifikacje instruktora malarskiego. Potem zostałem Sekretarzem Rady Zakładowej Zw. Zawodowego Budowlanych, a w 59r. byłem kierownikiem inspektoratu BHP i zacząłem pracować w tej dziedzinie. Napisałem kilka poradników w ramach prac konkursowych, zdobyłem 2 i 3 nagrodę. Później napisałem książeczkę, która ma wznowienia do dnia dzisiejszego /na temat BHP/ - nakład ponad 600 tys. <sup>4</sup>robiłem 2 scenariusze do filmów o BHP /2-ga nagroda krajowa/. Od roku 61 zacząłem pracę na 1,5etetu /równoległe ze studiami/ bo zrobiłem specjalizację inżynierską w zakresie weryfikacji projektu BHP dla budownictwa lądowego, portów rzecznych i lotniczych. Wykładałem przedmiot BHP na kursach, w NOT.

W trakcie tej mojej kariery zawodowej rodziły się dzieci: syn w 56r.,

córka w październiku 57r. Żona nie pracowała nigdzie, tylko chowała dzieci.

Wpływ wspomnień i przeżyć "stamtąd" jest dotąd bardzo duży. Nie wierzę, że ktokolwiek z nas, długoletni więzień, jest człowiekiem normalnym. Każdy ~~ma~~ ma na pewno ten "garb" - wyraźny, ale czasem mocno schowany. To niejednokrotnie jest zupełnie irracjonalne, ale często nasze zachowania mają bezpośredni związek z tym co się przeżywało. Pamiętamy zawsze te baraki, te wąskie deski.... Zródłem potrzeby posiadania swego własnego domu /tak jak u mnie/ jest sytuacja "stamtąd" - gdzie nie mieliśmy nic swojego. Był czas, o czym wspominałem, że nie miałem nawet bielizny, nie miałem nic, spałem nagi, siedłem do stołówki nago i nadzy ludzie nas tam obsługiwali. Człowiek nigdy nie mógł być sam, nawet w ubikacji czy łaźni. ~~Te~~ Nie tylko było się w towarzystwie współwięźniów, ale w każdej chwili, w najintymniejszym momencie mógł wejść "nadzierateli" czy lekarz, czy ktoś inny. Tam się żyło na oczach innych, wszystko się robiło przy innych, nawet umierało.

Więc ta chęć posiadania swego kąta, swjej intymności, swoich rzeczy - była bardzo silna. Poza tym, człowiek wyszedł z piętnem, z "garbem" - był najeżony do całego świata. Konfrontowałem te swoje uczucia z innymi kolegami i rodziła się w nas taka chęć: znaleźć się gdzieś w jakiejś puszczy, żeby nikogo nie widzieć, z nikim nie rozmawiać, mieć coś do jedzenia, ale żeby nikt się nie wtrącał, żeby być samemu. I to było jedną z przyczyn dla których powstał mój dom na Kołymie. Niektórzy mieli mi to za złe: jak to?, zamiast starać się o wyjazd, to ja buduję dom. A przecież mnie ten dom wcale nie wiązał, ten dom zostawiło się innym. W tej chwili mogę powiedzieć jedno, że po przyjeździe do Polski staraliśmy się nie myśleć o Kołymie, o łagrach, o wojnie - po pierwsze żeby się nie narażać /to nie była asekuracja, tylko poczucie braku sensu/, a poza tym każda walka musi się kiedyś skończyć. Doszliśmy z żoną do wniosku, że nadszedł czas budowania rodziny. To, że się dzieci urodziły, to nie był przypadek. Dłuższy czas zastanawialiśmy się, czy po tych przeżyciach możemy mieć dzieci,

czy stać nas na to, czy nie zrobimy krzywdy im i sobie.... i nie chcieliśmy napewno, żeby dzieci były na Kołymie....

Ciekawość ludzi z naszego otoczenia była duża, a przecież tej ciekawości nie można było zaspokoić i np. opowiadać w pracy gdzie byłem na Kołymie i co tam przeżyłem. A o Kołymie było już sporo wiadomości. Np. w czasie pierwszych Świąt Bożego Narodzenia z Wolnej Europy przekazano pozdrowienia dla łagromników z Kołymy i z innych miejsc... Każde takie wspomnienie nas kosztowały i to mocno. Czasem padały uwagi: cotam wasz obóz, cyglądacie normalnie, przeżyliście... - podobnie, jak historyk - pan Kowalski - powiedział: no to cóż, Polaków deportowano, Polaków zagnano do łagrów - jakie mogą mieć pretensje, przecież swoich też zabierali".

Staraliśmy się więc bardzo świadomie, we wszelkich kontaktach nie wspominać cośmy przeżyli i gdzie przeżyliśmy, zwłaszcza, że pewne rzeczy nie były zrozumiałe dla innych. Poza tym istnieje atmosfera pewnej sensacji i to też jest bardzo bolesne. W tej chwili też to odżywa.... Wracając do mego życia w Polsce. Pracowaliśmy dużo, nie korzystając z wczasów, z sanatoriów. Pierwszy raz na wczasy pojechaliśmy w 69r., potem jeszcze 3 razy. Ja byłem 2 razy w sanatorium w Kołobrzegu. I to wszystko. Należę do ZBOWiD-u, żona nie. Należę od 76r. - od kiedy powstała możliwość uzyskania dodatkowego urlopu. Teraz korzystam z innych przywilejów - jako żołnierz AK.

Te nasze przeżycia wpłynęły w dużym stopniu na stosunek do ludzi. "rzede wszystkim człowiek jest zamknięty jak ślimak, mało towarzyski" - zwłaszcza moja żona, nieufny. Poza tym mamy jakąś inną hierarchię wartości rzeczy, nie rozumiemy pogoni za pieniędzmi, stanowiskiem. Moja praca i wszystkie wysiłki, a nawet sukcesy, były po to żeby utrzymać rodzinę. Za każde zarobione od razu coś kupowaliśmy. Najpierw jeździliśmy rowerami na wycieczki z dziećmi, potem były motorowery, potem pierwsza Syrenka. A teraz - budujemy ten dom, który przerastał nasze możliwości pod każdym względem, ale jest i pomału się go wykańcza własnymi siłami i rękami. Ten dom to była po prostu psychiczna potrzeba.

W stosunku do ludzi cały czas jest jakaś bariera i nieufność. Jest to chyba patologia, bo tam nie można było być ufnym nawet wśród swoich współwięźniów z którymi się dzieliło wszystkie przeżycia. To jest mocno zakorzenione. Do tego dochodzi pewnego rodzaju sceptycyzm i zdziwienie żarłocznością ludzi w zdobywaniu pozycji materialnej czy innej. Nie mogę też zrozumieć ludzi, zwłaszcza kobiet obwieszonych złotem. Jak pomyśle, jak to złoto jest zdobywane przez tych więźniów, nie tylko w łagrach sowieckich, to mam myśli, których nikt nie zrozumie, kto tego nie przeżył.

Te nasze przeżycia trochę rzutowały na wychowanie dzieci: dzieci wiedziały o łagrach, dzieci wiedziały, że nic z nieba nie spadnie, że na wszystko trzeba zarobić. Staraliśmy się dzieci wychować nie narzucając niczego na siłę, staraliśmy się być tylko doradcami. Syn ukończył politechnikę w Białymstoku, córka studiowała biologię i teraz pracuje w Akademii Medycznej. Teraz jest już wnuczka Kasia - 1,5 roku. Na pytania dzieci zadawane na temat kierunku studiów odpowiadaliśmy, że powinno to im dawać przede wszystkim zadowolenie, a poza tym najważniejsze jest, żeby byli porządnymi ludźmi. Nigdy nie obiecywaliśmy, że rodzice mogą im stworzyć coś - czego nie mogą, a mówiliśmy żeby liczyły na własne siły, tak jak my w przeszłości.

Białystok, maj 1989r.

Relację nagrała

Małgorzata